Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

ŁOWIEC POLSKI



Z polowania w ordynacji dawidgródeckiej w styczniu b. r., na którem padło 62 dziki. Fot. „Photo-Plat".

ORGAN
POLSKIEGO ZWIĄZKU STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH

Nr. 8 (748) 10 MARCA 1934 R.

Książki myśliwskie

do nabycia w administracji „Łowca Polskiego"

po cenie netto:

1) „Bażant łowny" — jego pokrewne gatunki i krzyżowania. Historja i hodowla bażantów oraz zakładanie bażantarni. — C. Cronau . .	zł. 3.—
2) „Żywienie jeleni i sarn". — Dr. Max Neumeister	„ 1.20
3) „Hodowla a myśliwy". — Ernest br. Sylva Tarouca	„ 2.40
4) „Myślistwo z ogary". — Jan br. Ostroróg	„ 1.50
5) „Szczęśliwe dni". — St. br. Badeni	„ 18.—
6) „Nasze psy". — St. Blocki . .	„ 7.—

Za przesyłkę poleconą (przy wpłacie zgóry)— dolicza się zł. 1.—. Za zaliczeniem pocztowem— najmniejsza dopłata zł. 1.50.



Z polowania w ordynacji dawidgródeckiej. Przemykający się ryś. Fot. „Photo-Plat".

CZY MOŻLIWY JEST RENESANS POLOWANIA Z OGARAMI?

(ŁOWIECTWO NA ROZDROŻU).

W prawdziwem łowiectwie tkwi duża doza romantyzmu. O tem wie nietylko czytelnik impresyj myśliwskich, skazany na bujanie razem z autorem w regjonach najczystszej, nieskrępowanej żadną regułą fantazji: — o tem wie każdy myśliwy, umiejący swe doznania klasyfikować i definjować. Dla archeologa kamień druidyczny był poprostu zabytkiem zamierzchłej epoki — dla romantyka tenże kamień stał się wątkiem wielkiej tragedji fantastycznej. Dla handlarza lub kucharki zając jest poprostu kawałem mięsa w skórce, albo bez skórki. Tenże zając dla romantyka - animalofila stanie się tematem pięknej i rzewnej opowieści. A dla myśliwego?... Nie dla każdego myśliwego zając przedstawi wartość jednakową, lub raczej — nie każdy zając jednakowo „przemówi" do duszy myśliwskiej. Tam, gdzie na jednodniowem polowaniu pada po tysiąc zajęcy, szarak stanowi króciutką, trwającą ułamek sekundy rozkosz strzelecką w chwili, gdy ruluje w ogniu trudnego strzału. A że wielokrotna powtarzalność jest zabójczą dla wszelkiej rozkoszy, tedy przy jakimś pięćdziesiątym zającu rulującym uczucie rozkoszy strzeleckiej skurczy się do zera, nerwy oziębią się i conajwyżej pozostanie zimne zadowolenie pobicia cudzego, czy nawet własnego rekordu. A taki samiuteńki szarak, zdobyty po paru godzinach łowów z gończemi, po paru godzinach, na które złożyły się i złota cisza poranku jesiennego, mącona kołatką żołny i cmokaniem spłoszonej wiewiórki, — i żałosne wsłuchiwanie się w ginący gdzieś w głębiach boru gon ogarów, — i radość, gdy jak srebrna sygnaturka odezwie się hen z oddali jękliwe doławianie się Lutni, — i furja łowiecka, furja gonu, gdy do sopranu Lutni dołączą się alt Wisły i bas Szumlasa, a kaskada dźwięków, rosnąc, jak lawina, zacznie ukośnie zbliżać się ku twemu stanowisku, — i warjacki, zapamiętały bieg przez gąszcza i zwały, byle tylko w porę zdążyć stanąć na nowym przesmyku, — i wreszcie chwila ekstazy myśliwskiej, gdy strudzony, ogłupiały szarak wyskoczy na ścieżkę leśną i przysiądzie o dwadzieścia kroków od twych luf, drżących z rozkoszy pewnego (?) i łatwego (??) strzału... Takiego szaraka nie oddasz za pięćset zajęcy ubitych w kotle zawodów strzeleckich do żywych celów. Taki szarak będzie ci się śnił w noce smutnej starości, jak się śni pierwszy głuszec i pierwszy wilk. Taki szarak to najczystszy, używając dzisiejszej gwary — „stuprocentowy" romantyzm. Od takiego szaraka do zająca, strzelonego w kotle, strzelonego z podobną emocją, z jaką się strzela do krążka, wyrzuconego przez maszynę — przestrzeń olbrzymia!...

Ale — czy tylko szarak ma taką zmienną „wartość romantyczną", lub — jak kto woli — *praetium affectionis?* Czy głuszec ubity w pieśń, w półmrokach brzasku, na ciężkim, bagnistym terenie, którego się samemu zasadziło i samemu bez pomocnika podeszło, nie jest wart piętnastu kogutów, ubitych przez lunetę po wschodzie słońca, dziesięciu — do których, trzyma-

jąc cię pod pachę, podprowadził gajowy, pięciu — które coprawda sam podszedłeś, lecz które śpiewały na łatwem, „szkolnem" tokowisku, gdzie można bez szmeru i na sucho spacerować w pantoflach nocnych? *)



Z polowania w ordynacji dawidgródeckiej. Oględziny grubego odyńca. Fot. „Photo-Plat".

Albo wilk — ów najbardziej fascynujący objekt naszych łowów współczesnych... Czy, mierząc miarą prawdziwego myślistwa, każdy strzał do wilka ma jednakową „wartość romantyczną"? Pomijam wstrętne nietylko dla mnie, lecz dla większości myśliwych „łowy" sierpniowe na niewyrosłe, głupie i prawie bezradne szczenięta wilcze. Biorę wilka w pełni sił i w całej ozdobie pięknego futra, otoczonego fladrami po śniegu. Czy zawsze taki wilk będzie przedstawiał jednakową wartość myśliwską?... Nie. Wilk, którego z umiejętnością „pskowicza" sam wytropiłem, sam objechałem, sam otoczyłem sznurami, sam „skierowałem" ku wytyczonemu stanowisku, cenniejszy będzie dla mnie, niż pięć wilków, trzymanych w sznurach przez dwie doby, wilków, na które zjeżdżam wprost ze stacji — mając niemal tyle czasu, by zająć wskazane mi przez łowczego stanowisko, no — i aby dać strzał...

Takich i podobnych przykładów można mnożyć setki. Sądzę jednak, że i po tych paru przykładach każdy prawdziwy myśliwy przyzna mi bez sporu, że wszelka zwierzyna, od szaraka zaczynając, a na wilku, rysiu, łosiu, lub niedźwiedziu kończąc, ma zmienną wartość łowiecką i daje nerwom myśliwego biegunowo różne emocje: od ekstazy „wielkich łowów" do pospolitego dreszczyku sportowo - strzeleckiego.

Artykułowi memu dałem podtytuł: „łowiectwo na rozdrożu". Do podtytułu tego w tej chwili nawiązuję. Łowiectwo współczesne oscyluje pomiędzy dwoma biegunami. Jednemu z tych biegunów dałbym nazwę „romantyzm", drugiemu — „komercjalizacja". Zresztą nie upieram się przy nazwach. Naprzykład p. Jerzy Dylewski, autor wnikliwego szkicu o różnicy pomiędzy literaturą łowiecką przed wojną i po wojnie, nadałby może tym biegunom nazwy: „przedwojenny" i „powojenny". Zapewne miałby dużo racji. Lecz powtarzam, że nie chodzi mi o nazwy. Chodzi o zjawisko, które wszyscy oglądamy, lecz z którego nie wszyscy wyciągamy wnioski.

Miłujemy wszyscy łowiectwo. Wszyscy robimy coś dla łowiectwa. Jedni z nas mniej, inni więcej błądzą. Nie błądzą tylko ci, co nic nie robią. Miłość łowiectwa jest nam wspólna. Radzibyśmy to łowiectwo podźwignąć nie wiem jak wysoko, uczynić zeń już nie pierwszorzędny problem państwowo - społeczny, lecz poprostu jakiś dogmat wiary. Ale — czy poznaliśmy dobrze przedmiot naszej miłości? Czy w uniesieniu nie błądzimy trochę tak, jak błądzą wszyscy, których miłość oślepia?...

Postarajmy się na chwilę nie być ślepi, jak wszyscy zakochani, i spojrzeć bez złotej łuski na oczach na obserwowane zjawisko. Czy naprawdę wiemy czem jest przedmiot naszej miłości — łowiectwo? W tej chwili nie zależy mi na filozoficznem i ścisłem zdefinjowaniu łowiectwa, lecz poprostu na stwierdzeniu, czem jest w dobie dzisiejszej łowiectwo w Polsce.

Weźmy dwa bieguny. Łowisko na naszych Kresach Zachodnich, gdzie w ciągu jednodniowej strzelaniny pada tysiące zajęcy, zgóry zakontraktowanych i idących na eksport, przypuśćmy — do Francji, i łowisko na Ziemiach Wschodnich, mające dziesięciokrotnie więcej obszaru, niż łowisko zachodnie, gdzie paru myśliwców starego autoramentu ugania się cały dzień boży ze sforą gończych za jednym liskiem lub szaraczkiem. Niebo i ziemia. Stuprocentowa komercjalizacja i stuprocentowy romantyzm.

Szukajmy złotego środka. Szukajmy, lecz — czy znajdziemy? Z jednej strony nawołujemy do hodowli, do tępienia drapieżników, do eksperymentów aklimatyzacyjnych. Z drugiej strony narzekamy na demokratyzację łowiectwa, na „zwyrodnienie prawdziwego myślistwa", na zanikanie typów prawdziwych, z bożej łaski myśliwców. Skazujemy na zagładę poczciwego (stosunkowo) lisa, a ronimy łezki nad dolą zaniedbanego ogara, który jeden potrafi w zwierzostanie więcej szkód wyrządzić, niż kilka dziesiątków lisów.

Szukamy złotego środka... Wprowadzamy obostrzone, często z groteską graniczące czasy ochronne; narzekamy na zbyt łagodne kary, nakładane na przestępców łowieckich; propagujemy łowiectwo w prasie, w radjo, w kinematografie; nawołujemy do współpracy z nauczycielstwem, by zapukać do serc maluczkich i wykrzesać z nich miłość do zwierząt których im łapać nie wolno, lecz nam wolno strzelać... Bo o co nam chodzi? — Chodzi o ratowanie łowiectwa... Jak przemawiamy do rozumów i sumień współobywateli - niemyśliwych? — Wskazując im doniosłe dla państwa i społeczeństwa e k o n o m i c z n e znaczenie łowiectwa. Zwierzyna — to bogactwo narodowe! Tak wyrzeczone hasło przemawia do przekonania tłumów. Hodowla, hodowla i jeszcze raz hodowla! Znam przykłady nawet na naszych „dzikich" kresach, że zrozumienie gospodarczej wartości łowiectwa zaczyna tu i ówdzie przenikać w masy. Chłopek - naganiacz, obserwujący dziś u jednego myśliwego „rozkład" 5 zajęcy w ciągu jednego dnia, a u sąsiada — rezultat 100 zajęcy, zaczyna porównywać i medytować.

I w umyśle jego, trochę pierwotnym, lecz świeżym zaczyna budzić się szacunek do wydrwiwanych dotąd zachcianek „pańskich", jakiemi są: tępienie psów i kotów, karmienie zwierzyny, niszczenie wnyków. Hodowla zwierzyny zaczyna mu imponować.

---

*) Dowcipne określenie „szkolnego", t. j. łatwego dla nowicjuszów tokowiska, nie jest moim pomysłem. Tak ochrzcił łatwe tokowiska jeden z najwybitniejszych hodowców głuszców na Ziemiach Wschodnich, hr. Jan Tyszkiewicz z Waki *(Przyp. aut.)*.

Hodowla zaczyna czynić na zapomnianych dotąd przez Boga i ludzi „kresach" znaczne postępy. Okazuje się, że nawet klimat północno-wschodni, wciąż zabójczy dla rozmnoży kuropatw, „przestał" jakoś szkodzić zającom. Tam, gdzie ochrona i hodowla istnieją naprawdę — rezultaty są wręcz fenomenalne. Tam, gdzie przed 5, czy 6 laty ubijano jednego dnia po kilkanaście zajęcy (do 20-tu), dziś ubija się około setki. Jeszcze kilka lat wytężonych wysiłków, a będziemy mieli w Wileńszczyźnie łowiska konkurujące „rozkładami" z łowiskami Zachodu. I — rzecz ciekawa, omyliła się Szanowna Redakcja „Łowca P.", pisząc w dopisku do mego artykułu w roku 1931: „nie wszystkie rewiry, choć na nich znajduje się trochę zajęcy, nadają się do ich hodowli" *). Rzeczywistość zaprzeczyła temu twierdzeniu. Na północ od Wilna leżą przeszło 10.000 ha liczące rozłogi i jałowe, napół wydmy piasczyste, zarosłe nikłą sosną, napół t. zw. rojsty i błotka mszarne. Puste i smętne tereny. Tereny te, stanowiące t. zw. poligon, zostały coś w r. 1925 wydzierżawione przez Oficerski Klub Łowiecki garnizonu Wilno. W chwili objęcia dzierżawy było tam trochę cietrzewi i pardw, natomiast — tropu zajęczego ani na lekarstwo. Dziś po 9 latach, ubija się tam jednego dnia 30 zajęcy i dużo innej zwierzyny, a widzi się sarny i — bażanty (tak!). Jeżeli dzięki energicznej ochronie i racjonalnej hodowli osiągnęło się takie rezultaty na obszarach wręcz jałowych i pustych, to co można osiągnąć na terenach choć trochę zamożniejszych pod względem gleby?... Słowem: gdzie jest „trochę" zajęcy, tam przy sprzyjających warunkach może ich być dużo. Zwierzyny nie zahodujemy tylko tam, gdzie jej nigdy nie było i nigdy być nie może. Lecz takich terenów mamy coraz mniej w Polsce. Jeszcze jeden przykład — z mojej własnej praktyki. W czasie wojny, w r. 1916 spędzałem sezon letnio-jesienny w pow. lepelskim Witebszczyzny (obecnie za kordonem). W majątku, gdzie przebywałem, ochronę zwierzyny wprowadziła dopiero wielka wojna, powołując na front wszystkich kłusowników. Jak wielkie były tam rozmaitość i bogactwo zwierzyny niech świadczy fakt, że, opolowując stosunkowo nieduży teren (około 1000 ha, w czem 400 ha powierzchni jeziora) przynosiłem dziennie z samotnej włóczęgi z wyżłem po kilka pardw i cietrzewi, po kilka kaczek, po kilka zajęcy i po kilkanaście kuropatw. Zaznaczam, że dobrym strzelcem nie jestem i nie byłem. A warunki klimatyczne Witebszczyzny są wszak nie lepsze, niż np. Wileńszczyzny. Konkluzja: — wątpię, czy w Europie, prócz Rosji, są jeszcze tereny, „zupełnie" nienadające się do hodowli zwierzyny.

Szukając złotego środka — oscylujemy. Bo głosząc — *pro foro externo* — ekonomiczne znaczenie łowiectwa, nie zapominamy, że prócz nieszczęsnego szaraka i biednej kuropatwy są inne objekty łowne godne naprawdę strzału myśliwskiego. Szarak i kuropatwa w razie gwałtownego rozmnożenia się przestają być zwierzyną, a zmieniają się w żywe cele dla sportu strzeleckiego. Istnieje inna zwierzyna, stanowiąca ponętny objekt naszych tęsknot łowieckich. Istnieje lis, którego od biedy ratujemy, jako członka „komisji sanitarnej". Istnieje ryś, którego w ciągu 11 miesięcy ochraniamy, jako „objekt zanikającej fauny". Istnieje wilk... Tego trudno jest bronić w imię „ekonomicznego znaczenia łowiectwa". I oto — Bogiem a prawdą — wpadamy w pewną obłudę, wprowadzając do ustawy łowieckiej demagogiczne przepisy o barbarzyńskich, a nieprowadzących do celu obławach przymusowych. A w głębi ducha — mówię w tej chwili w imieniu własnem i w imieniu innych myśliwych „romantyków" — życzymy wilkom dobrego zdrowia, naturalnie, do czasu najbliższego spotkania po ponowie we fladrach...

Artykuł niniejszy jakoś mi się układa w kierunku odwrotnym. Zacząłem od podtytułu, a wracam do tytułu, w którym zawarłem pytanie: „Czy możliwy jest renesans polowania z ogarami?" — W zacytowanym artykule moim z r. 1931 prorokowałem bliski kres polowania z ogarami. Proroctwa mego nie podzieliła wówczas Sz. Redakcja, twierdząc w przypisku, że, po pierwsze, nie wszystkie rewiry, choć na nich znajdują się zające, nadają się do ich hodowli, po drugie, że „niebezpieczeństwo dla przyszłości polowań nietylko z ogarami, lecz wogóle z psami, tkwi w topniejącej wciąż liczbie prawdziwych myśliwych i wypieraniu ich przez zwykłych amatorów jak najczęstszego strzelania".

Że pierwsze twierdzenie Sz. Redakcji nie jest słuszne, to stwierdziłem na przykładach. Każdy „gończarz" wie dobrze, że polowanie z ogarami tylko wtedy ma sens, gdy 1-o gończe są dobre, 2-o zwierzyny nie jest za dużo. Gończe są dobre wtedy, gdy nie zalegają pola, t. j. mają stały trening. Gończy, zamknięty w zagrodzie przez 9 miesięcy, w ciągu roku przestaje być gończym. A gończy, bujający na swobodzie nietylko w ciągu całego roku, lecz nawet przez 3 miesiące sezonu, staje się biczem bożym dla zwierzyny w promieniu kilku, a nawet kilkunastu kilometrów. Aut-aut. Albo likwidujemy gończe i hodujemy zwierzynę, albo rezygnujemy z hodowli, by po kilku latach przekonać się, że ani z gończemi, ani bez gończych nie mamy już na co polować. Bywa trochę inaczej. Znam majątek w Wileńszczyźnie, gdzie trzymane są gończe. W pobliżu dworu zwierzyny jest mało. Natomiast dużo zajęcy posiada tenże właściciel w drugim folwarku, odległym o 15 kilometrów. Tam raz lub dwa razy do roku odbywa się polowanie z gończemi. Na czem ono polega? Oto czterech czy pięciu myśliwych ustawia się na przecinającej las drodze, zaś dojeżdżacz wpuszcza do kniei sforę gończych. Cóż się dzieje? Zajęcy jest dużo, gończe ruszają naraz po kilka szaraków, by wkrótce natknąć się na noworuszone t. zw. „szumowiki" i t. d. Ogłupiałe ilością zwierzyny psy nie gonią w ścisłem tego słowa znaczeniu, lecz poprostu miotają się po lesie w różnych kierunkach, spełniając funkcje bezplanowej i dzikiej, acz niekosztownej naganki. Na polowaniu takiem pada stosunkowo dużo zajęcy (30 i więcej), ale — czy takie polowanie można nazwać polowaniem z ogarami? Nietylko prawy gończarz, lecz poprostu myśliwy, który raz w życiu zakosztował prawdziwego polowania z gończemi, powie napewno, że opisane tu polowanie jest parodją i zwyrodnieniem „łowów z ogary".

Drugie twierdzenie Sz. Redakcji nabiera — po tem wszystkiem, co napisałem — szczególnej barwy. W twierdzeniu tem przeciwstawiono „prawdziwemu myśliwemu" mało sympatyczną postać „zwykłego amatora jak najczęstszego strzelania". Dla mnie osobiście, zaliczającego się do klanu myśliwych - romantyków, taka paralela, przeprowadzona pomiędzy dwoma typami myśliwych z ujmą i naganą dla myśliwego-strzelacza, brzmi niezwykle przyjemnie. Ale czy Sz. Autor paraleli zdał sobie sprawę, że ta paralela jest nietylko przeciwstawieniem dwóch typów myśliwych, lecz i — dwóch biegunów łowiectwa? Z jednej strony romantyzm, współżycie z przyrodą, stosowanie arkanów kunsztu myśliwskiego, prześciganie się z łowionym zwierzem w chytrości i przebiegłości... Z drugiej — hodowla, komercjalizacja, dużo zwierzyny i... rekordy strzeleckie...

Czy możliwy jest renesans polowania z ogarami? Nie. Nie dlatego, że gończe rozpędzają zwierzynę; nie dlatego, że nie szanują cudzych granic; nie dlatego, że już dziś obserwujemy zwyrodnienie i parodję

*) „Łowiec P." z r. 1931 Nr. 51-52. Artykuł mój p. t. „Kres polowania z ogarami" z dopiskiem Redakcji *(Przyp. aut.)*.

łowów z ogary. Nawet nie dlatego, że dziś w Polsce już nie istnieją czyste rasy gończych, że brak i amatorów, i pepinjer, i terenów dla zakładania hodowli gończych czystych ras, że dziś nasze gończe — to mniej lub więcej podrasowane kundle, goniące zwierzynę głosem... Renesans ogarów jest niemożliwy dlatego, że gończe są antytezą hodowli zwierzyny. Od zachodu ku wschodowi kroczy przez Polskę komercjalizacja łowiectwa. Gończy ustępuje przed naganiaczem, jak (nie przymierzając...) pojazd konny ustępuje przed samochodem. „Kres polowania z ogarami" to nie fantazja pesymistycznie nastrojonego publicysty łowieckiego, to nie przepowiednia nawet. To fakt, który już się rozpoczął spełniać. Wystarczy tylko patrzeć i obserwować. A myśliwy - romantyk może tylko westchnąć, że oto jeszcze jedna — przepiękna i romantyczna forma łowów przechodzi do historji *).

MICHAŁ K. PAWLIKOWSKI.

W SPRAWIE OBOWIĄZKU ZAPŁATY ZA SZKODY, WYRZĄDZANE PRZEZ DZIKI.

Na walnem zebraniu członków Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego, odbytem we Lwowie dnia 3-go grudnia 1933 roku, p. Eustachy Rylski, właściciel Uhrynowa, poruszył sprawę zapłaty za szkody, wyrządzane przez dziki, i zauważył, że wskazanem byłoby, aby skarb państwa przyjął na siebie obowiązek płacenia choć części odszkodowania, gdyż. wskutek ustawowej ochrony dzików, obowiązani do płacenia nie mogą w tym czasie przeprowadzać odstrzału.

Ponieważ jestem zwolennikiem zasady, że wszelkie sprawy, dotyczące łowiectwa, powinny być przedmiotem jawnej dyskusji, dla której należy szeroko otworzyć wrota w pismach łowieckich, przeto chciałbym, aby w sprawie szkód, wyrządzanych przez dziki, i obowiązku odszkodowania za nie wypowiedziały swe zapatrywania szersze koła myśliwych.

Podstawową zasadą gospodarki łowieckiej jest, że nie może być ona prowadzoną ze szkodą gospodarki rolnej lub leśnej i nie może stać w sprzeczności z interesami ochrony przyrody. Prawie niema zwierzyny, któraby była bezwzględnie szkodliwą, lub bezwzględnie użyteczną.

Przy każdym gatunku trzeba na jedną szalę wagi położyć użyteczność, a na drugą szkodliwość tego gatunku. Zadecyduje waga, a gdy szala użyteczności przeważy szalę szkodliwości, powiemy, że dany gatunek jest użyteczny, lub w razie przeciwnym uznamy go za szkodliwy.

Dawniejsze zapatrywanie było dla dzików bardzo niekorzystne. Zarówno leśnicy, jak i rolnicy uważali dzika za szkodnika i to za wielkiego szkodnika.

Obecnie część leśników uważa dziki za zwierzynę użyteczną, bo wyjadają one pędraki, a ryjąc, stwarzają bardzo korzystne warunki dla samosiewu.

Są jednak leśnicy, którzy twierdzą, że w poszukiwaniu za pędrakami dzik niszczy kultury i że uniemożliwia kulturowanie wyrębów przez sadzenie żołędzi, które doszczętnie wyjada z wysadzonych rzędów.

Dla rolnictwa jest dzik bezsprzecznie wielkim szkodnikiem.

Ochrony przyrody dzik obecnie nie interesuje, bo jest ich tyle, że o zaniku tego gatunku mowy niema.

Dla łowiectwa, jest dzik zwierzyną o bardzo wysokiej myśliwskiej wartości.

Wśród tych rozbieżności, od całego szeregu lat istnieje ciągła walka o dzika między myśliwymi i rolnikami, a zwłaszcza rolnikami małorolnymi.

O historji i przebiegu tej walki poucza nas ustawodawstwo, dotyczące dzika.

Z tego źródła wiemy, że dopiero rozporządzenie Prezydenta Rzplitej z dnia 3 grudnia 1927 roku Dz. p. p. Nr. 110 zaliczyło dzika do zwierzyny łownej. Do dnia 28 grudnia 1927 roku (w tym dniu zaczęło obowiązywać powyższe rozporządzenie) był dzik wyjęty z pod prawa.

Ustawy sejmu galicyjskiego z dnia 5 marca 1897 roku Dz. u. k. Nr. 71 i z dnia 13 lipca 1909 roku Dz. u. k. Nr. 2 ex 1910 nakazywały posiadaczom prawa polowania bezwzględne tępienie dzików i upoważniały każdego właściciela gruntu do zabijania dzików na swym gruncie i zabierania ich sobie bez względu na porę roku.

Ustawy te nakazywały starostom ustanawianie na koszt posiadaczy prawa polowania, niewykonywujących obowiązku tępienia dzików—dozorców, których zadaniem było bezwzględne tępienie dzików. (§§ 45, 46, 47, 49 ustawy z roku 1897 i §§ 49, 50 ustawy z roku 1909). Doprawdy podziwiać należy tę potęgę siły odrodczej, która mimo drakońskich praw, skierowanych ku zagładzie dzików, utrzymała je w pełnym rozwoju życia i rozmnoży.

Zaliczenie więc obecne dzika do kategorji łownej zwierzyny zapisać trzeba, jako wielką zdobycz łowiectwa.

Dawne ustawy zobowiązywały tylko tych posiadaczy łowisk (właścicieli - dzierżawców) do zapłaty za szkody, wyrządzane przez dziki, którzy dziki hodowali, to jest karmili i nie tępili ich. Dziś, gdy, w myśl obowiązującego prawa, uprawnionym do polowania na dziki na pewnym terenie jest tylko ten, komu służy wogóle prawo polowania w danym obwodzie łowieckim — gdy nieposiadającemu prawa polowania nie wolno zabijać dzików na własnym gruncie — obowiązek zapłaty za szkody, wyrządzane przez dziki, stał się bezwarunkowy, a obowiązek ten ciąży, w myśl artykułu 55 rozporz. z dnia 3/12 1927, na posiadaczu (właścicielu - dzierżawcy) terenu łowieckiego, będącego ostoją dzików.

Pan E. Rylski uważa jednak, że skarb państwa powinien częściowo przyczyniać się do zapłaty odszkodowań, skoro minister rolnictwa, (na usilne domaganie się myśliwych) zarządził w miesiącach marcu i kwietniu urzędową ochronę dzika.

Jak ja się zapatruję na ustawową ochronę drapieżników, to dałem wyraz temu w artykułach, drukowanych w roku 1933 w „Łowcu Polskim". Dzik nie jest drapieżnikiem. Uważam jednak, że zbytnie wkraczanie władzy w szczegóły gospodarki łowieckiej nie jest wskazane.

Polska jest terytorjalnie dużem państwem i to, co w jednej części kraju jest dobre, może być złe, nieodpowiednie w innej jego części.

Zamiast kazuistycznych postanowień, lepiej, mojem zdaniem, byłoby ustawowo ustalić zasadę, że gospodarkę łowiecką prowadzić należy racjonalnie, a kto w ten sposób jej nie prowadzi, o czem orzekną znawcy łowiectwa, temu ma być odebrane prawo samoistnego prowadzenia gospodarki łowieckiej bez względu, czy w danym wypadku dotyczy to obwodu łowieckiego własnego, czy też wspólnego.

Pozwólmy myśliwym - hodowcom samoistnie my-

*) Redakcja nie podziela tych poglądów Sz. Autora. *(Przyp. red.)*.

ślеć. Mimo jednak tego przekonania, uważam twierdzenie, że ustawowa ochrona dzika przez miesiące marzec i kwiecień nie pozwala posiadaczowi łowiska unormować wedle własnej woli stanu dzików w jego kniei, za niesłuszne.

Chociaż bowiem to ustawowe ochronne zarządzenie istnieje, to jednak każdy może przez przeciąg 10-ciu wolnych od ochrony miesięcy unormować w swojej kniei stan dzików. Miesiące grudzień, styczeń i luty, w których przeważnie śnieg pokrywa ziemię — po ponowie, toż najwłaściwsza pora do polowania na dziki.

Stan dzików w kniejach, stanowiących ich ostoję, może każdy posiadacz takiej kniei zmniejszyć według własnej woli.

Zaprzeczyć się nie da, że posiadanie rewirów, obfitujących w dziki, to rzecz dla myśliwego bardzo miła, ale również i droga — nieraz bardzo droga — i nie każdy może sobie na to pozwolić.

Kogo jednak nie stać na poczynienie wydatków, połączonych z zimowem karmieniem dzików i z zapłatą odszkodowania za szkody przez nie wyrządzane, a szkody te przy dużym stanie dzików są rzeczywiście wielkie — ten może łatwo doprowadzić i ustalić stan ich, mimo ustawowej ochrony w miesiącach marcu i kwietniu, do możliwych dla siebie warunków materjalnych. Nie wdaję się w ocenianie, czy żądanie, aby państwo, zaprowadzające ustawowy czas ochronny, przyczyniało się do zapłaty odszkodowania za szkody, wyrządzane przez dziki, jest teoretycznie słuszne. Zapominać jednak nie wolno, że czas ochrony dzika ustanowiony został wskutek domagań się myśliwych o tę ustawową ochronę.

Przewiduję natomiast, coby się stało, gdyby państwo przyjęło na siebie choćby tylko częściowy obowiązek wynagradzania szkód, wyrządzanych przez dziki.

Otóż na ten (zresztą nieprawdopodobny) wypadek, że się tak wyrażę, potanienia hodowli dzików, znalazłaby się spora ilość myśliwych, których stosunki materjalne nie pozwalają obecnie, przy obowiązku płacenia całego odszkodowania z własnej kieszeni, na hodowlę w swoich rewirach znaczniejszej ilości dzików, a którzy przy tych zmienionych warunkach, postaraliby się o wybitne zwiększenie stanu dzików w swoich łowiskach.

Dziki stałyby się plagą gospodarstw rolnych, co znowu zmusiłoby rząd do wydania zarządzeń celem wytępienia tej plagi, a tępienie dzików stałoby się, jak w dawnych ustawach, ustawowym nakazem. A przecież w interesie łowiectwa leży, aby te czasy nie wróciły.

Zauważyć nadto muszę, że domaganie się, aby skarb państwa pokrywał częściowo zapłatę szkód, musiałoby nie ograniczać się tylko do szkód, wyrządzanych przez dziki, ale — dotyczyć wszystkich szkód, czynionych przez zwierzynę, wymienioną w artykule 55 rozp. Prezydenta Rzplitej z 3/12 1927 roku.

Że państwo, ściągając z łowiectwa miljonowe opłaty (karty na broń myśliwską, karty łowieckie), powinno subwencjonować łowiectwo w jego staraniach rozwojowych, to jest słuszne i niesporne.



Benedykt hr. Tyszkiewicz ze swemi dwoma wspaniałemi odyńcami, ubitemi w Puszczy Nalibockiej w styczniu b. r.

Nie radziłbym jednak domagać się od rządu przyczyniania się do zapłaty odszkodowań za szkody, wyrządzane przez dziki i przez inną zwierzynę, wymienioną w art. 55 rozp. z 3/12 1927, mającą również ustawową ochronę, bo wywołaćby to mogło dla łowiectwa bynajmniej niepożądane skutki.

KAZIMIERZ WYSOCKI.

DJANA ŁOWCZYNI.

Polowanie na wilki zimą „z okładem", powszechnie praktykowane przed wojną w Rosji, polega na zanęceniu wilków do pewnego określonego miejsca, obranego zgóry u obrzeża wysokiego lasu, ponad błotami lub porosłemi przez łozy łąkami, gdzie kładzie się padlinę — najczęściej zabitego, wybrakowanego konia. W miarę, jak wilki padlinę pożerają, podkłada im się raz po raz nową, aż się dobrze do danego miejsca zanęcą. Wówczas na kilka dni kładzenie padliny należy przerwać, aby wilki się przegłodziły. Pędą one stale, niemal co noc dane miejsce odwiedzały, a gdy po upływie jakiegoś tygodnia położy się nową padlinę, zazwyczaj zaraz pierwszej nocy zjawiają się przy niej i nażerają się ponad wszelką miarę. Odchodzą one wówczas niedaleko, na zamarznięte błota, lub na łąki pomiędzy łozy i tam się kładą, nie ruszając się z miejsca przez 2 — 3 dni, dopóki nie przetrawią masy pożartego ścierwa.

Cała zręczność myśliwska przy tym rodzaju polowania oparta jest na umiejętności tropienia wilków po świeżym śladzie, zaraz tego samego ranka po nocy, gdy pojawiły się u świeżo położonej padliny, oraz na wymiarkowaniu miejsca, gdzie zalegly. Czynności tej dokonywa doświadczony tropiciel, po rosyjsku t. zw. „okładczyk". Gdy, idąc świeżym tropem wilków, wymiarkuje on, iż muszą one już gdzieś niedaleko przed nim leżeć w łozach, skręca z tropów w bok i domniemane legowisko obchodzi wokół zdala, aż dojdzie w ten sposób do linji tropów, z której zeszedł poprzednio, po przeciwnej ich stronie. Skoro podczas robienia tego koła nie zostały napotkane wyjściowe ślady wilków — „okład" jest udany.

„Okładczyk" rusza wówczas swoim śladem po raz wtóry i z dużego motowidła rozwija cienki sznur, do którego w sążniowych odstępach poprzyczepiane są różnokolorowe szmaty, zwane w polskim języku ło-

wieckim „fladrami". Sznur ten czepia po drzewach i krzakach na wysokości metra nad ziemią. Gdy dojdzie tak „okładczyk" swemi śladami, wokół legowiska wilków, do miejsca, skąd zaczął czepiać sznur, wilki są już nim całkowicie obciągnięte i zamknięte „w pętli". Będą one tam siedziały ze dwa dni i nawet, gdy wstaną, nie pójdą narazie przez sznur, panicznie bojąc się fladr, dopiero wreszcie głód zniewoli je do przesadzenia sznura. Oczywiście, łowy na wilki, zamknięte w sznurach, należy urządzać niezwłocznie.

Polowanie w ten sposób ma tę wyższość nad innemi metodami, że daje prawie absolutną pewność spotkania się z wilkami i dostania ich na strzał, co przy urządzaniu np. polowania z obławą bardzo często zawodzi.

*

Było to właśnie na początku pewnej zimy przed laty dwudziestu kilku, gdy, będąc jeszcze zupełnie młodym człowiekiem, zamieszkałem od pewnego czasu w głębi odwiecznych puszcz w okolicy Smoleńska, administrując rozległemi, uprzemysłowionemi dobrami leśnemi, stanowiącemi własność jednego z najbardziej znanych magnatów rosyjskich. Mój strzelec Wołodia, wierny służący i nieodstępny towarzysz mojej kawalerskiej samotności, molestował mnie już od kilku dni o to, że czas już rozpocząć przygotowania do polowania na wilki „z okładem".

— Barin — zagadnął któregoś wieczora, gdy, zmęczony całodziennym objazdem lasów i fabryk, znalazłem się wreszcie w wygodnym, bujającym fotelu przed kominkiem, na którym wesoło trzaskał ogień— pora już brać się za „ochotę" na wilki, których mnóstwo się pokazało. Wamby, barin, najlepiej zaprosić na polowanie tych państwa, co tu rok temu przyjeżdżali na polowanie. Ja wam już kiedyś latem mówił o tem, jak ta „ochota" się udała. Ten barin gość i obie młode panie doskonale strzelają, a osobliwie młodsza panienka, która prosto jest „pisana krasawica". Zabili oni w ciągu tygodnia czternaście wilków w kilku okładach, które urządzał ich własny „okładczyk" Prochor, przysłany na 2 tygodnie przed ich przyjazdem. Sama ona, ta baryszna, położyła osiem wilków. A strzela ona kulami — na udziwienie. Sam ja widział, jak z sanek z podjazdu cietrzewia kulką z „Frankotki", więcej jak na sto kroków, z wierzchołka jodły strąciła.

Uśmiechnąłem się na te zachwyty Wołodi, bo panna istotnie była bardzo ładna. Poznałem ją jesienią w Moskwie. Z powodu rozległych interesów musiałem bowiem często wyjeżdżać do Petersburga i do Moskwy, gdzie nasze interesy finansowe były załatwiane przez bank bar. R. Z panem R., który właśnie w roku ubiegłym wraz ze swemi dwiema siostrami polował zimą w lasach, któremi obecnie administrowałem, poznałem się z racji interesów jeszcze latem, a wkrótce, dzięki wspólnej żyłce łowieckiej, znajomość narazie oficjalna zamieniła się w towarzyską i pan R. gościł u mnie kilka dni pod koniec lata na polowaniu na cietrzewie i kaczki.

Pan R. był to przystojny brunet lat trzydziestu kilku, jeszcze nieżonaty. Był to jeden z najwybitniejszych tuzów finansowych w Moskwie. Rodzina pana R. należała do najstarszych rodów wśród patrycjatu moskiewskiego. Wspaniały jej pałac, będący ozdobą całej Moskwy, zachował się podobno po dziś dzień. Rodzina pana R. składała się z matki i dwóch jego sióstr, młodych panien, z których starsza Natia była złotowłosą blondynką, młodsza Djana — ciemną szatynką.

Po bytności pana R. u mnie na polowaniu, rewizytowałem go, oczywiście, wkrótce w Moskwie i wówczas poznałem jego rodzinę. Miss Djanę poznałem w parę minut po przybyciu do domu pp. R. Zaledwie bowiem znalazłem się w komfortowym gabinecie jej brata i uścisnąłem dłoń uradowanego moim przyjazdem gospodarza, gdy u przeciwległych drzwi uchyliła się ciężka portjera i z poza niej wychynęła zgrabna sylwetka kobieca. Zerwałem się olśniony, stała bowiem przedemną istotnie prześliczna dziewczyna. Kształtnie zbudowana, więcej niż średniego wzrostu, mogła liczyć conajwyżej dwadzieścia lat. W ciemnych włosach tkwił kokieteryjnie zatknięty, złoty półksiężyc. Z pod wspaniale zatoczonych, sobolowych brwi patrzyły ku mnie rezolutnie ogromne, chabrowe oczy, ocienione długiemi rzęsami, a na ustach, wykrojonych, jak z łuku Amora, a płonących, jak kwiat szkarłatnej róży, przyczaił się chochlikowaty półuśmieszek.

Lekkim, sprężystym krokiem postąpiła naprzód i na mój ukłon odpowiedziała energicznem, niemal męskiem potrząśnięciem mojej dłoni.

Pan R., przedstawiając mnie, dodał z uśmiechem:

— Oto ma pan właśnie przed sobą naszą psotnicę, Djanę, moją młodszą siostrę, którą już pan zna z moich opowiadań.

Bawiłem wówczas w Moskwie kilka dni i szczerze zaprzyjaźniłem się z państwem R., którzy byli niezmiernie łatwi w obejściu i niesłychanie gościnni. Odwiedzałem potem ten miły dom za każdą moją bytnością w Moskwie tem chętniej, że chabrowe oczy miss Djany witały mnie zawsze bardzo przyjaźnie. Panny wyciągały mnie zwykle to na oglądanie galerji obrazów, to na spacery, lub do strzelnicy, gdzie miss Djana popisywała się mistrzowskiemi strzałami ze sztucera do ruchomych celów. Mimowoli przyłapałem siebie kilka razy na tem, że coś przydługo spoglądam w chabrowe oczęta, w których zapalały się jakieś mieniące się błyski.

Już wówczas jesienią stanęło na tem, że pp. R. całą trójką przyjadą do mnie zimą na wilki. Toteż obecnie, odpowiadając na molestowania Wołodi, zaznaczywszy, że niby idę za jego radą, zakomunikowałem mu, śmiejąc się, że zaraz nazajutrz napiszę do Moskwy o przysłanie „okładczyka" Prochora.

Prochor przybył w kilka dni potem i po 3-ch tygodniach przygotowań z podkarmianiem wilków w szeregu po kilkadziesiąt kilometrów odległych od siebie punktów zameldował mi wreszcie któregoś ranka, że pora kłaść przegłodzonym wilkom świeżą padlinę i wzywać myśliwych. W międzyczasie miała miejsce między mną a Moskwą ożywiona korespondencja, a w jednym z listów od pana R. był krótki dopisek od miss Djany. Panna pisała, że obrzydły jej już wszystkie wernissaże, teatry, koncerty i nawet ślizgawka, że w lesie teraz musi być cudnie i że umiera z niecierpliwości, nie mogąc doczekać się zawiadomienia o terminie polowania.

Po meldunku Prochora nadałem telefonem do najbliższej stacji pocztowej depeszę terminową, na co w kilka godzin tą samą drogą otrzymałem wiadomość, że cała trójka tejże nocy wyjeżdża z Moskwy koleją.

Goście przybyli następnego dnia pod południe. Prochor w dzień położył świeżą padlinę w jednym punkcie, stosunkowo najmniej odległym. Nazajutrz już o 7-ej rano z leśniczówki, niedaleko której położona została zanęta, nadszedł telefoniczny meldunek, że wilki były w nocy, pożarły prawie pół konia i że Prochor już poszedł ich tropami. Mój Wołodia zaraz otrąbił przed domem pobudkę na „wstawanego", a w dwie godziny potem, gdyśmy siedzieli już wszyscy przy śniadaniu, nadszedł drugi meldunek, że Prochor wilki szczęśliwie obłożył i że już zaciąga sznur. Po 2-ch godzinach nadszedł trzeci meldunek, że wilki są w sznurach

Polecieliśmy jak wicher i, pozostawiwszy konie opodal, udaliśmy się w największej ciszy na linję, którą wyznaczył Prochor u podstawy rozwartych sznurów. Prochor z kilkoma ludźmi na nartach udał się zdala poza sznurem do szczytu „pętli", aby zajść stamtąd i krzykiem ruszyć wilki na nas, a my,

odziani z wierzchu futer w białe kitle, zamarliśmy w bezruchu na stanowiskach, oczekując odezwania się naganki.

Stałem na prawem skrzydle, mając z lewa za sąsiadkę miss Djanę. Upłynęła tak może godzina, może więcej, gdy naraz niezmąconą ciszę zakłócił pierwszy, daleki okrzyk naganki. Mimowoli ścisnąłem w ręku sztucer i wpatrzyłem się pilnie w niezbyt gęste krzaki i łozy na pokrytej grubym śniegiem błotnej łące. Ile minut tak przeszło — nie wiem. Wtem dostrzegłem z lewa, na ukos odemnie, w łozach na jakieś trzydzieści kroków dwa przekradające się ostrożnie, podłużne kontury. W tej chwili huknął gdzieś dalej na linji strzał, a za nim prawie niezwłocznie rozległ się suchy trzask dwóch kolejnych po siebie strzałów ekspresa miss Djany.

Nie miałem czasu obejrzeć się, bo w tym samym momencie zauważyłem przed sobą szary cień olbrzymiego wilka, wymykającego się w prawo. Złożyłem się do strzału i w chwili, kiedy zwierz wysunął się na lukę między krzakami, nacisnąłem cyngiel. Buchnął strzał i wilk, trafiony kulą w krzyż, wlokąc zadem, pociągnął się na przednich łapach za duży krzak. Zarepetowałem sztucer i obejrzałem się w lewo. Było to w samą porę, bo linję mijał już inny wilk pomiędzy mną, a miss Djaną. Na szczęście miejsce za linją było prawie czyste. Wilk sadził w olbrzymich susach ku odległej ścianie gęstego lasu. W momencie, gdym się już składał, ujrzałem, jak wilk zrulował w skoku. Jednocześnie huknął strzał miss Djany.

Strzałów więcej nie było i wkrótce ukazała się naganka. Podszedłem ku stanowisku miss Djany. Dwa pierwsze wilki leżały blisko od siebie, oba czysto odrobione strzałami na komorę. Dublet był istotnie fenomenalny. Trzeci wilk leżał na czystem miejscu, poza linją, trafiony w pędzie kulą na łopatkę, na mierzonych 76 kroków odległości od stanowiska miss Djany. Byłem nietylko zdumiony, ale wprost oczarowany i, ująwszy obie rączki zarumienionej z zadowolenia panienki, gratulowałem jej serdecznie. Nadeszli tymczasem miss Nata z bratem. Okazało się, iż miss Nata, mająca trochę krótki wzrok, przeoczyła 2 wilki, które się prześlizgnęły gęstemi łozami, a pan R. rozciągnął młodego wilka. Mój wilk okazał się starym, ogromnym basiorem. Dwa jeszcze wilki po pierwszych strzałach poszły bokiem przez sznur. Wracaliśmy do domu w bajecznym nastroju, a srebrny śmiech miss Djany, która znalazła się w moich sankach, rozdzwaniał wesołem echem po lesie.

W kilku następnych okładach w ciągu 10-ciu dni zabiliśmy 17 wilków, a miss Djana, oczywiście, przestrzelała nas wszystkich. Waliła w dodatku na tę dziewczynę zwierzyna, jak urzeczona.

Nadszedł wreszcie dzień wyjazdu moich miłych gości, a miss Djanie, gdy ściskałem na pożegnanie jej drobne łapki, jakoś podejrzanie mgliły się chabrowe oczy.

Polowałem raz jeszcze w towarzystwie całej gromadki na północy od Moskwy na łosie, a później w lutym spotkałem miss Djanę na balu w klubie szlacheckim, w Moskwie. Panna wyglądała uroczo, w powiewnej, balowej tualecie i otoczona była rojem młodzieży i błyszczących oficerów gwardji. Ale wiedziałem, że pierwszy walc w jej karneciku jest zapisany dla mnie.



Pan Zygmunt Glinka jr. z Suchej z ubitym przez siebie wilkiem w Puszczy Świsłockiej.

Być może, iż tęczowa nić sympatji, jaka się zaczęła snuć między nami, byłaby się z czasem zadzierzgnęła w jakiś trwalszy węzeł, bo chabrowe oczy patrzyły na mnie coraz łaskawiej i coraz cieplejszy strzelał z nich chwilami blask, gdy rozmawiała ze mną. Los jednak chciał inaczej. Wkrótce musiałem opuścić tę moją pustelnię w lasach smoleńskich, bo listy z kraju wzywały mnie nagląco do powrotu dla ważnych spraw rodzinnych. Tak się też i moja dalsza znajomość z miłym domem pp. R. zerwała, ale jeszcze długo potem stawał mi nieraz w oczach czarowny obraz Djany - łowczyni, w której niewiadomo co było więcej godne podziwu i admiracji, czy oryginalna uroda, czy zawadjacki, kipiący bujnie młodego życia temperament, czy też prawdziwa żyłka łowiecka i mistrzowski kunszt w strzelaniu.

ST. P. W.

MOTYLICA BYDŁA, A NASZE PTAKI ŁOWNE.

Zestawienie tych dwóch pojęć może się na pierwszy rzut oka wydać dziwnem. Przy bliższem jednak rozpatrzeniu sprawy znajdziemy wiele punktów stycznych, które, mimo braku niezbitych faktów, pozwolą nam jednak wyrobić sobie pewne pojęcie o istotnym wpływie ptaków łownych na warunki rozszerzania się motylicy.

Pan Fr. Czech, zarządzający majątkiem Dąb pod Wodnianami, złożył dnia 27/5 1927 r. w ministerstwie rolnictwa następujący memorjał:

„Na podstawie mych długoletnich doświadczeń i obserwacyj zwracam uwagę na znaczenie kuropatwy, jako niszczycielki mięczaka - pływatki małej w okolicach zagrożonych i nawiedzonych przez motylicę. Jak sięgnę pamięcią, nie grasowała tu motylica nigdy w tym stopniu, jakkolwiek miewaliśmy lata mokre, połączone z powodziami i zalewami, sama zresztą Szumawa bogata jest w spady wodne. Przed parcelacją dóbr szwarcenberskich i innych sami właściciele wystrzelali całą obsadę kuropatw, a co pozostało wyłowili parcelanci, złakomieni wysoką ceną żywej zwierzyny. Następstwa tego już widzimy w nadmiernem rozmnożeniu się mięczaka - pływatki, a z nimi i zarodków motylicy, które mięczak ten w swem ciele przechowuje.

Równocześnie zwracam uwagę na nieprzyjaciela kuropatw — wronę, która niszczy jajka kuropatwie, a w zimie, na śniegu rzuca się i na same ptaki.

Proponuję zatem, w imię obrony interesów roi-

nictwa, poczynienie odpowiednich zarządzeń, nie dopuszczających chwytania, strzelania i jakiegokolwiek niszczenia kuropatw i innej pierzastej zwierzyny łownej, póki nie powróci ona do dawnego stanu liczebnego. Tym sposobem zapobiegnie się najskuteczniej klęskom, spowodowanym dzisiejszą epidemją motylicy.

Wreszcie proponuję, aby dzierżawca polowania, przy umowie dzierżawnej, był zobowiązany urzędowo do niszczenia wron, jako tępicielek kuropatw".

— Memorjał ten ministerstwo poleciło mi zbadać, oraz dać fachową opinję o jego rzeczowych podstawach.

Stanowisko moje w tej sprawie da się mniej więcej w ten sposób określić:

Pogląd p. Fr. Czecha nietylko podzielam, ale gotów jestem rozszerzyć go na ptaki nawet niełowne. Mięczakożernemi są w pierwszym rzędzie bażanty, potem dzikie gołębie i wszelkie ptactwo wodne i błotne. Nie sądzę, aby rozmnożenie kuropatw samo przez się było radykalnym środkiem walki z motylicą, ale niewątpliwie jest w tej walce znakomitym pomocnikiem i w zupełności zasługuje na ustawowe poparcie.

Tak ornitologja, jak i wiedza łowiecka uczy nas, że mięczaki *(Molusca)* stanowią nader poszukiwane pożywienie ptaków, zwłaszcza bażanty są wprost łakome na różnego rodzaju ślimaczki i robaczki. Zbieranie ich przez kuropatwy i bażanty można potwierdzić tem jeszcze znanem zjawiskiem, że ptaki te chętnie zapadają i w pewnych porach dnia przebywają nad stawami, potokami, bagnami, lub na spuszczonych, bezwodnych, a jeszcze wilgotnych stawach rybnych. Wyniesione z wody powodzią, wylewem lub burzą, mięczaki czepiają się przybrzeżnych traw i stąd, niezniszczone przez ptactwo, dostać się mogą wraz z trawą do żołądka zwierzęcego, wnosząc do jego organizmu chorobę. Pływatka, która służy za rozmnożny podkład motylicy, *(Limnea truncatula — minuta)* żyje w wodach stojących równie, jak i w małych potokach. Odmiana jej *(L. trun. var. oblongata)*, żyjąca na ociekających wodą skałach i głazach, jest oczywiście mniej niebezpieczna. To samo o pływatce mówi Brehm.

Zestawmy teraz pojawianie się mięczaków na nadwodnych trawach z chętnem przebywaniem kuropatwy i bażanta w tych trawach, a hypotezę mamy niemal niezbicie uzasadnioną. Sorauer w swej „Handbuch der Pflanzenkrankheiten" dowodzi, że: „bażanty, kuropatwy i przepiórki są naturalnymi tępicielami mięczaków, ślimaków i t. p. i, aby zapobiedz szkodom, wyrządzanym przez nie kulturze rolnej, zalecać należy ochronę tych ptaków łownych".

Osobiście zbadałem dotychczas wola, żołądki i trzewia około 5000 ptaków, w tem znaczny procent kuropatw i około 500 bażantów, pochodzących z różnych okolic i z różnych pór roku (dla celów naukowych i z pory ochrony), toteż wnioski z moich sześcioletnich doświadczeń mają pewną wartość realną.

U badanych kuropatw i bażantów znajdywałem, zależnie od pór roku, od pojedyńczych sztuk aż do całej masy przeróżnych mięczaków, co dowodzi, że ptaki te nigdy nie unikają tego pożywienia, a mając go poddostatkiem wprost objadają się niem.

Wraz z mięczakami połykają i skorupkę, lub rozbite jej cząstki, dla zaspokojenia naturalnej potrzeby wapna i to w różnych porach roku.

Z wyżej przytoczonych powodów poparłem w całej rozciągłości memorjał p. Fr. Czecha, podkreślając fakt, że reforma rolna istotnie wbija gwóźdź do trumny czeskiej hodowli zwierzyny i łowiectwa. Dodałem ze swej strony komentarz, że łowiectwo jest dotąd zgoła mylnie uważane za pańską zabawkę, a zwierzyna za szkodnika i pasorzyta rolnej i leśnej kultury.

Byłoby rzeczą ze wszech miar pożądaną, by ministerstwo rolnictwa przy tej sposobności samo podkreśliło znaczenie gospodarcze łowiectwa, oraz dodatni wpływ zwierzyny łownej, jako gubicielki szkodników leśnej i rolnej kultury. Dowodów na to znajdziemy dość, wystarczy jednak przypomnieć odnośnym władzom państwowym, jak nikłym był wynik ich zabiegów w walce z chwościkiem buraczanym na Morawach w r. 1921, w porównaniu do usług, jakie oddały wtedy buraczarstwu kuropatwy, bażanty i szpaki. Dużo o tem mówię z drobnymi rolnikami, odwiedzającymi Instytut doświadczalny w Bernie. Ludzie ci nietylko uznają pożyteczność kuropatwy i bażanta, ale wprost dopominają się o urzędowy zakaz ich strzelania.

Oby zdrowa myśl rolników morawskich rozszerzyła się po wszystkich krańcach naszej republiki.

INŻ. OST. FARSKY.
Spolszczył WŁ. KARNKOWSKI.

DOBRE SĄSIEDZTWO.

Jest pewnikiem, że dla pomyślnego rozwoju szeregu gatunków naszej zwierzyny łownej potrzebne są większe tereny. Tych zadużo nie mamy, a jednak powiększenie ich w wielu wypadkach jest możliwe, przy dobrych i rozumnie ułożonych stosunkach łowieckich sąsiadujących z sobą terenów.

Sąsiedzi, myśliwi - hodowcy mało zazwyczaj zwracają uwagi na to, że przy wzajemnem porozumieniu się, lojalnej współpracy i jednolitej akcji w odniesieniu np. do hodowli sarn czy bażantów mogą tem samem podwoić teren, a wówczas peregrinusy zwierząt, czy ptaków łownych, będą tylko wymianą i krzyżowaniem. Stąd wynika, że kiedy teren A zaprowadza hodowlę bażantów, to powinna powstać ona również na terenie sąsiednim B.

Następnie, jeżeli dwa tereny, prowadzące racjonalną hodowlę są przedzielone terenem dzikim, to oba łącznie winny teren ten wydzierżawić choćby dla samej ochrony własnej zwierzyny, wspólna zaś akcja w tym kierunku zwiększy znowu kolosalnie teren i obniży koszty.

Dalej wspólna praca sąsiednich terenów w akcji dozoru i walki z kłusownictwem i wnykarstwem może wybitnie usprawnić wykonanie i podnieść wyniki. Sąsiedzi leśnicy, gajowi, czy strażnicy łowieccy wspólnym patrolem, dzisiaj na tym, jutro na drugim terenie, wiele mogą sobie pomódz, tworząc silniejszą akcję, wywiad i informacje.

Niestety, jakże inaczej w życiu układają się te stosunki.

Jednolita działalność sąsiedzka w hodowli zwierzyny, w wymianie okazów, a dalej w oznaczeniu terminu polowań, handlu zwierzyną, jej dożywiania, wieleż mogłaby zdziałać w kierunku podniesienia zwierzostanów, stając się dodatnim ułamkiem wielkiej, ogólno - krajowej akcji w celu podniesienia naszego łowiectwa.

W ciężkich czasach dzisiejszych akcję taką spotykamy wszędzie, zacząwszy od kartelów przemysłowych, a skończywszy na akcji kół porad sąsiedzkich w rolnictwie. Dlaczegóżby w łowiectwie nie miała rozwinąć się racjonalna „współdzielczość", któraby ponad śmieszne ambicje i małostkowość wpłynęła dodatnio na poziom łowisk naszych?

Skromną myśl tę rzucam pro publico bono, oczywiście pomijając tereny, które na mocy ogólnych dobrych, sąsiedzkich i towarzyskich stosunków akcję tę zdawna prowadzą, a także i te łowiska, które siłą rzeczy na dobrego sąsiada liczyć nie mogą.

B. J.

DYMNY PROCH, JAKO PODSYPKA.

Z ogromnem zdziwieniem, a nawet z pewnem zaniepokojeniem przeczytałem artykuł p. Kazimierza Chrzanowskiego, umieszczony w „Łowcu Polskim" Nr. 4 (744) z dnia 1-go ub. m., jak również w „Łowcu", organie M. T. Ł. we Lwowie. w Nr. 2—3 z b. r. i śpieszę jak najrychlej zabrać głos w tej sprawie, aby wskazać, jak bardzo ostrożnym należy być, zastosowując wskazany przez Sz. Autora zabieg z podsypką dymnego prochu.

Historja z używaniem czarnego, a właściwie dymnego prochu. jako podsypki, celem doprowadzenia do zupełnej eksplozji ładunku prochu bezdymnego, sięga dość dawnych, bo tych czasów, w których fabrykacja prochów bezdymnych była jeszcze w „pieluszkach" i konieczność zachowania harmonji między danym prochem bezdymnym a spłonką była sprawą, do której nie przywiązywano zbyt wielkiej wagi. Było to około r. 1890—1900.

Nie dziw! Dopiero praktyka miała w przyszłości, po szeregu różnych, mniej lub więcej udałych prób, dowieść, że podstawą dobrego działania każdego preparatu eksplozywnego, powstałego z procesu nitrowania, do których oczywiście i prochy bezdymne zaliczyć należy, polega właśnie na zgraniu się tych dwóch czynników, t. j. „siły zapałowej" spłonki i „chyżości spalania się" danego prochu.

Jeśli „siła zapałowa" spłonki jest za mała. to proch albo zupełnie się nie zapali i spłonka swojemi gazami wytrąci pocisk z łuski, wbije go w gwinty, względnie może nawet wyrzucić z lufy, jak to Sz. Autorowi się zdarzyło, albo spali się częściowo (przy każdym strzale niejednakowa jego ilość) i wówczas otrzymamy za każdym razem inną chyżość i odpowiedni do tego rozrzut na tarczy, jaskrawo występujący w dystansach ponad 100 m.

Gorzej jest, gdy „siła zapałowa" danej spłonki (wzmocniona np. podsypką dymnego prochu) jest za duża i wywoła zanadto gwałtowne spalenie się dawki bezdymnego prochu; wówczas może (nie musi) nastąpić zupełnie nieobliczalny skok w ciśnieniu gazów i, jeśli do tego dołączy się jeszcze drugi czynnik. powodujący wzrost tego ciśnienia, t. j. opór kuli przy opuszczaniu wylotu łuski i wbijaniu się w gwinty, to napięcie gazów, rosnące, jak wiadomo, jak trzecia potęga oporu, wzmaga się łatwo o setki, a nawet tysiące atmosfer i wówczas są już: strzelec i broń w poważnem niebezpieczeństwie.

Specjalnie dymny proch ma tę własność, że w odpowiedniej ilości jako „inicjał" (podpałka) użyty doprowadza każdy preparat nitrowy do eksplozji, użyty jednak w za dużej ilości wywołuje w najflegmatyczniejszych preperatach nitrowych proces detonacji (t. j. tak gwałtownej eksplozji, jak np. dynamit).

Jako przykład, przytaczam sławny ze swej flegmatyczności i trudności doprowadzenia do eksplozji dawny, karabinowy, bezdymny proch austrjacki t. zw. Wz. 92, który nawet pod działaniem swojej właściwej (b. silnej!) spłonki nie raczył eksplodować, gdy łuska nie była nim w zupełności wypełniona (2.75 gr.), tak, że, dając do zwykłego naboju np. tylko 2 gr., miało się wskutek dużego „luzu" w łusce absolutnie pewny niewypał.

A jednak ten tak leniwy proch, przy odpowiedniej ilości podsypki z dymnego prochu, odpowiednio zastosowanej, można było doprowadzić do tak gwałtownej eksplozji, że każdy karabin szedł w drzazgi.

W latach 1890—1900, gdy właściwie na kontynencie mieliśmy do broni kulowej przeważnie tylko prochy bezdymne, używane w wojsku, przedsięwzięto szereg prób, mających na celu adaptowanie tych bezdymnych prochów do sztucerów myśliwskich. głównie w kalibrach 9.3 m/m — 12.75 m/m i to przy użyciu pocisków ołowianych, bezpłaszczykowych. Oczywiście pierwsze próby wypadły podobnie, jak próby Sz. Autora z „Dzikiem", t. j. kończyły się niewypałami. Dopiero użycie podsypki z dymnego prochu doprowadziło do rezultatów na ówczesne stosunki wcale zadowalniających.

Rezultaty prób, przeprowadzonych w Niemczech (Versuchsstation Neumannswalde) w latach mniej więcej 1905—1906 dały odnośnie do kalibrów, przez Sz. Autora cytowanych, niżej przedstawione rezultaty.

Jako podsypki, używano przy tych próbach nie zwykłego czarnego prochu, stosowanego w nabojach śrutowych, lecz prochu t. zw. „8/II". Był to proch ciemno-brunatnego koloru, o okrągłych ziarnkach wielkości prosa, który z powodu swojej dużej flegmatyczności nadawał się wyłącznie pod kule do ekspresów w kal. 360, 450 i 500. Pod śrut był ten proch zupełnie nie do użycia.

Jako bezdymnego prochu, użyto austrjackiego prochu karabinowego Wz. 92 (miseczkowate łuski), o którym już wspomniałem, że był jednym z najleniwszych prochów kulowych.

Mniej więcej w tym samym czasie występuje na widownię nabój „Rickbey" kal. około 9.3 m/m, z pociskiem o płaszczu stalowym i płaskim, ołowianym końcu, nabity bezdymnym prochem kulowym, o ile sobie przypominam, w Austrji Wz. 92, z silną podsypką z dymnego prochu, silnie rozreklamowany z powodu rzekomego doskonałego działania na grubego zwierza.

Nie ulega żadnej wątpliwości, że te naboje z bezdymnym prochem na podsypce dawały bez porównania lepsze rezultaty, niż naboje nabite wyłącznie dymnym prochem, co zresztą poniżej podana tabela bezsprzecznie wykazuje. Ale miały też one i swoje duże ujemne strony.

Do tych ostatnich należała przedewszystkiem

BROŃ	Długość lufy w cm	Kaliber	NABÓJ: Łuska	NABÓJ: bezpłaszczowy pocisk: dług. w m/m	NABÓJ: bezpłaszczowy pocisk: waga w gr.	NABÓJ: Proch	Chyżość V 12.5 m w m/sec	Siła żywa w 25 metrach w m/kg	Wysokość toru przy dystansie: 100 m, mierzona w metrze 50	200 m, 100	300 m, 150
bezkurkowy dryling	68·2	9·3 m/m	konicznа 9·3 m/m × 82 m/m	19 m/m	12·3 gr.	1 gr. podsypki 8/II + 2·5 gr. Wz. 92	567	202	4 cm	22 cm	66 cm
						4·25 gr. 8/II	513	165	4·8 cm	28 cm	79 cm
kurkowy dryling	69·0	11·15 m/m	koniczna 11·15 m/m × 65 m/m	20 m/m	18·6 gr.	1 gr. podsypki 8/II + 2·7 gr. Wz. 92	495	233	5·3 cm	26 cm	—
						3·4 gr. 8/II	391	145	8·7 cm	44 cm	—

bardzo problematyczna „bezdymność" — (bo podpałka dawała przecież dość dużą chmurę dymu) a potem trudność fabrykacji. Mianowicie, jeśli każdy nabój miał jednakowo pod względem balistycznym działać, to było nieodzownem, aby podpałka, umieszczona na dnie łuski, leżała tam, nie mieszając się ze znajdującym się nad nią prochem bezdymnym.

Choć więc proch bezdymny przytłoczymy watą, to, o ile ten tampon nie jest silny, z czasem, gdy nabój w torbie myśliwskiej przez dłuższy czas ponosimy, tampon zluzuje się, (bo między nim a kulą jest zwykle trochę wolnej przestrzeni) i wówczas rozpoczyna się dowolna mięszanina prochu bezdymnego z dymnym, oczywiście w każdym naboju w innym stopniu, co nie może pozostać bez skutku na regularność strzałów.

Właściwe niebezpieczeństwo przy fabrykowaniu nabojów kulowych z podsypką tkwi jednak głównie w tem, że przeważnie fabrykują je sami myśliwi, którzy, jak wiadomo, nie grzeszą ani nadmiarem wiadomości balistycznych, ani dokładnością w elaborowaniu amunicji. Wszak nie dawniej, jak w ubiegłym sezonie jesiennym, spotkałem się np. z jednym, zresztą wcale dobrym, zdawałoby się, myśliwym i strzelcem, który fabrykuje sobie sam naboje śrutowe (owszem — oszczędność godna pochwały!), ale twierdzi z uporem manjaka, że używanie wagi do prochu bezdymnego, nawet płatkowego, jest niepotrzebną stratą czasu i że jemu zawsze miarka (!) wystarcza. Poleciłem go w myślach opiece św. Huberta, bo takiego „fachowca" nawracać, to groch o ścianę.

Jak obszerne pole otwiera się tu dla rozmaitych pomyłek odnośnie do gatunku bezdymnego prochu! Jak łatwo może się zdarzyć, że jakiś domorosły a odważny laik - balistyk użyje np. bezdymnego śrutowego, zamiast kulowego prochu i zaaplikuje podsypkę. Że lufa w najlepszym razie będzie po strzale przypominała niedomknięty parasol, to rzecz pewna!

Dużą rolę będzie grała waga, ewentualnie kaliber kuli, wylanej z jakiegoś niezawsze pewnego „kulecznika" (maszynki do odlewania kul); mała nieszczelność i kula, zamiast np. 9.3 m/m — ma średnicy 9.4 m/m, albo i więcej. Jak wtedy będzie wyglądało ciśnienie na ściany lufy?

Weźmy jednak pod wyłączną uwagę tylko fabrycznie wykonane pociski, dotąd w Polsce nie wykonywane. Wszak mamy w tych samych kalibrach różnej długości i różnej wagi kule. Np. w kal. 9.3 m/m rozróżniamy dwa rodzaje bezpłaszczykowej

kuli: $\frac{12\ \text{gr.}}{20\ \text{m/m}}$ i $\frac{14{\cdot}4\ \text{gr.}}{22\ \text{m/m}}$, zaś w kalibrze 11.15 m/m

aż trzy: $\frac{19{\cdot}3\ \text{gr.}}{22\ \text{m/m}}$, $\frac{23\ \text{gr.}}{22{\cdot}4\ \text{m/m}}$ i $\frac{24\ \text{gr.}}{28\ \text{m/m}}$

Przy tym samym ładunku prochu bezdymnego i najdokładniej odważonej podsypce, każdej z tych kul będzie towarzyszyło inne ciśnienie na ściany lufy, a obraz na tarczy będzie również dla każdej wagi kuli inny.

Zsumowawszy to wszystko, okazało się, że zabieg z podsypką, jest przecież bardzo skomplikowany i dość ryzykowny. Pierwsi, oczywiście Niemcy, skonstruowali do tego celu specjalne prochy bezdymne, jak np. Troisdorfer Ringscheibenpulver, Rottweiler — „P" - Pulver i t. p.

W Polsce Państw. Wytwórnia Prochu w Pionkach (dawniej Zagożdżon), uwzględniając położenie naszych myśliwych, w jakiem np. znalazł się Sz. Autor, wyprodukowała, jako jeden z pierwszych, doskonały proch bezdymny pod kule bezpłaszczykowe t. zw. „Królewski" (kwadraciki koloru amarantowego), który właśnie do kalibrów od 8.15 — 11.60 m/m znakomicie się nadaje. Odznacza się on bardzo łagodnym procesem spalania, nie wywołując dużego ciśnienia na ściany lufy, a przytem łatwą zapalnością, zapala się bowiem pewnie, bez względu na niską temperaturę, nawet pod działaniem zwykłej, płaskiej, mosiężnej spłonki (t. zw. „5/M. 71", ⌀ = 6.45 m/m) przeznaczonej zasadniczo do dymnego prochu, nie mówiąc już o miedzianej, przeznaczonej do prochu bezdymnego (t. zw. „5/N", ⌀ = 6.45 m/m).

Na ten temat przeprowadziła Stacja Doświadczalna P. W. P. Pionki cały szereg niezwykle interesujących prób jeszcze w jesieni i w zimie 1931 r., właśnie w kal. 11.15 m/m i 9.3 m/m i osiągnęła bardzo ładne rezultaty, opublikowane wraz z fotografjami w „Łowcu Polskim", rocznik 1932, p. t. „Bezdymne krajowe prochy kulowe".

Dlaczego Sz. Autor, zamiast korzystać z tych doświadczeń, przedsięwziął żmudne próby z prochem „Dzik", który jest doskonały w swoim rodzaju, ale jest przeznaczony do nabojów flaszkowych i pocisków płaszczykowych — nie rozumiem.

Czyżby serja artykułów, na ten temat opublikowanych, uszła Jego cennej uwagi?

Chcąc Mu oszczędzić nudnego może wertowania po dawnych rocznikach „Ł. P." — podaję dawki prochu „Królewskiego" dla kal. 11.15 m/m = 1.7 — 1.9 gr., przy wadze kuli = $\frac{19{\cdot}3\ \text{gr.}}{22\ \text{m/m}}$ zaś dla kal. 9.3 m/m: 1.3 gr. przy wadze kuli = $\frac{14{\cdot}4}{22\ \text{m/m}}$.

Co się tyczy spostrzeżeń Sz. Autora, jakoby niska temperatura (—12° C) miała powodować niewypały, to pozwalam sobie na podstawie doświadczeń, przy których byłem obecny, stwierdzić, że niska temperatura działa wprawdzie obniżająco na chyżość początkową, ale jest to właściwością wszystkich na świecie prochów bezdymnych, powstałych z procesu nitrowania.

Obniżenie to wynosi jednak kilka, może kilkanaście, — a najwyżej kilkadziesiąt m/sec, ale nie może nigdy spowodować zupełnego niewypału, za jaki należy uznać eksperyment z prochem „Dzik" bez podsypki, w kal. 11.15 m/m. Przyczyny należy raczej szukać w tem, że „Dzik" wymaga silniejszej spłonki. Trudno o tem wyrobić sobie zdanie, bo Sz. Autor nie podaje, jakich pocisków używał. Czy były to zwykłe ołowiane, bezpłaszczykowe pociski (lane, względnie prasowane), czy też może t. zw. „Tesco", t. j. pociski z bardzo miękkiego ołowiu, ale okryte miedziano - niklowym płaszczem, znakomite w precyzji strzału i działaniu na zwierza, ale niestety do nabycia tylko w Niemczech. Mnie osobiście interesowałyby niezwykle dane, dotyczące użytych pocisków.

Również nie podaje Sz. Autor, jakiego gatunku dymnego prochu użył jako podsypkę? Mamy bowiem obecnie w Polsce 4 gatunki tego prochu, z których każdy ma swoistej wielkości ziarnka i swoistą „chyżość spalania się". Nie podaje Sz. Autor także formy łusek w kal. 11.15 m/m; przypuszczam, że będzie to łuska koniczna 11.15 × 65 t. zw. „Collath - Drilling - Patrone".

Kończę niniejszy artykuł zapewnieniem, że motywem do napisania była jedynie chęć oszczędzenia braciom w św. Hubercie żmudnej elaboracji nabojów z podsypką, a głównie obawa przed jakiegoś rodzaju wypadkiem, o który nie trudno.

INŻ. WALERY MARYAŃSKI

Ś. P. ALEKSANDER MAŁACZYŃSKI.

Z głębokim smutkiem dzielimy się z czytelnikami wieścią o zgonie ś. p. dr. Aleksandra Małaczyńskiego, długoletniego członka Wydziału Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego.

Ś. p. dr. Małaczyński był nieskazitelnym wyznawcą świętego Huberta, a — biorąc zawsze, od lat, czynny udział w pracach Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego, — położył na polu łowiectwa i jego organizacji wybitne zasługi.

W uznaniu zasłużonej i owocnej działalności ś. p. dr. Małaczyńskiego, Zarząd Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich w dniu 2 grudnia r. ub. nadał Mu złoty Medal Zasługi Łowieckiej.

Zgon ś. p. dr. Małaczyńskiego nastąpił dnia 25 ub. mies., we Lwowie, w dniu zaś 27 ub. mies. odbył się pogrzeb przy tłumnym udziale towarzyszy z pod zielonego sztandaru, organizacyj społecznych, których Zmarły był czynnym członkiem, delegacyj pozamiejscowych i szerokich kół społeczeństwa lwowskiego.

Cześć pamięci wybitnego myśliwego! *—jb.—*

ZE SPRAWOZDAŃ DELEGATÓW POWIATOWYCH.

Z POWIATU KOZIENICE.

Powiat kozienicki położony jest w południowej części województwa kieleckiego i graniczy: z północy z powiatem grójeckim, z północnego zachodu z powiatem garwolińskim, woj. warszawskiego, z zachodu z powiatem puławskim, woj. lubelskiego, z południa z powiatem iłżeckim i ze wschodu z powiatem rodomskim woj. kieleckiego.

Powiat kozienicki obejmuje przestrzeń 188,300 ha., w czem 95,705 ha. gruntów ornych, 9,945 ha. łąk, 7,349 ha. pastwisk, 27,212 ha. lasów państwowych, 21,349 ha. lasów prywatnych, 1,087 ha. ogrodów i sadów, resztę stanowią nieużytki.

Jak widać z powyższego, powiat nasz posiada około 50.000 ha lasów, które stanowiły kiedyś sławną Puszczę Kozienicką, po której, niestety, dzisiaj już pozostały tylko wspomnienia. I dzięki ostatnim szczęśliwym zarządzeniom, zmierzającym do wydzierżawienia wielkich połaci lasów państwowych kółkom łowieckim, które już wzięły się gorliwie do prowadzenia racjonalnej gospodarki łowieckiej, liczyć możemy, że po kilku latach zwierzostan się poprawi.

Zwrócić uwagę należy również na duży kompleks lasów prywatnych dóbr Trzebień-Magnuszew, gdzie ostatnio zwierzostan poprawił się bardzo znacznie i to taki, jak: dziki, jelenie, kozły i cietrzewie, nie mówiąc o zającach, kuropatwach i bażantach.

A trzeba zwrócić jeszcze i na jedno uwagę, że lasy te znajdują się zaledwie o 65 klm. od wielkiej Warszawy.

Powiat kozienicki posiada zarejestrowanych na 1 stycznia r. b. 21 obwodów własnych o powierzchni 16,120 ha. i 144 obwody wspólne o powierzchni 63,750 ha. Tereny łowieckie stanowią pola i lasy. Zwierzostan na polach w porównaniu z rokiem poprzednim poprawił się znacznie. W lasach naogół zwierzyny jest mało.

Spis osób, posiadających karty łowieckie, uzyskałem. Kart łowieckich starostwo kozienickie w roku 1932 wydało 197 sztuk, w roku 1933 — 168 sztuk, na rok bieżący przewiduje się również znacznie mniej.

Spraw o przekroczenie prawa łowieckiego rozpatrzono w starostwie w roku 1932 około 266, grzywny wahały się w granicach od 50 zł. do 500 zł., areszt zaś od 7 dni do 3 miesięcy. Większość spraw jednak uległa umorzeniu ze względu na amnestję.

Spraw o przekroczenie prawa łowieckiego rozpatrzono w starostwie w roku 1933 około 198, grzywny wahały się od 50 zł. do 500 zł., areszt zaś od 7 dni do 3 miesięcy.

Jak widać z powyższego zestawienia, wielką bolączką jest grasowanie kłusowników, z którymi walka jest bardzo utrudniona, ponieważ przez szereg lat policja zupełnie nie zwracała uwagi na stan kłusownictwa w powiecie, a dopiero od kilku lat, dzięki wyjątkowej energji i zamiłowaniu do łowiectwa obecnego starosty i czynnej pomocy komendanta powiatowego policji, stan ten z roku na rok się poprawia. Najlepiej mówi za siebie ostatni rok, w którym skonfiskowano około 140 strzelb kłusownikom.

Aczkolwiek kłusownictwo jest tępione w znacznej mierze, to jednak jest jeszcze dość często notowane. Gdyby tempo tępienia kłusownictwa przez starostwo i policję państwową poszło tak dalej, to w niedługim czasie, mam wrażenie, pozbylibyśmy się tej strasznej plagi.

Niestety, sąd okręgowy w Radomiu, zamiast podnosić kary apelującym od wyroku starostwa, obniża je bardzo znacznie, dochodząc nieraz do śmiesznych kar, np. za zabicie sarny karze tylko grzywną 20 złotych.

Tego rodzaju polityka sądu okręgowego w Radomiu nie ukróca kłusownictwa, a równocześnie zniechęca i straż leśną i łowiecką, bo przecież często bez narażenia własnego życia nie można złapać kłusownika.

Niskie wymiary kar rozzuchwalają i zachęcają kłusowników do dalszego uprawiania tego zawodu. **Polityka taka odbija się w pierwszym rzędzie na gorliwości policji,** która z mniejszym zapałem ściga kłusowników, co sprzyja rozwojowi przestępczości.

Drugą poważną plagą, nietylko naszego powiatu, są psy, włóczące się za pastuchami, względnie za swoimi domownikami. Psy te, włócząc się po polach, w najokropniejszy sposób tępią zwierzynę, szczególnie na wiosnę, kiedy mają możność złapania małego zajączka, lub małej kuropatewki. Zaprawione do łatwego polowania na wiosnę, często urządzają polowania zimowe.

Bardzo smutne zjawisko przedstawia widok, gdy w czasie polowania, jakiego byłem osobiście świadkiem, polując w południowej części powiatu, koło Puław, całe bandy chłopów włóczyły się z pieskami za linją myśliwych w celu łapania i kradzieży rannej zwierzyny. Spotykało się nawet, że kłusownicy zajmują stanowiska ze strzelbą w laskach polnych, wiedząc, że ranny zając przeważnie tam będzie szukał schronienia.

Podobne wystąpienie należałoby objąć jakiemś specjalnem zarządzeniem. Aczkolwiek ostatnio zarządy gminne obłożyły podatkami psy, nie będące na uwięzi, to jednak w praktyce wyglądać to będzie w ten sposób, że psy będą na uwięzi w czasie dnia, a nocą oczywiście będą sobie swawolnie polowały.

Zwierzostan na terenie tutejszego powiatu wygląda następująco: Stan sarn i jeleni w całym powiecie, dzięki dużym kompleksom lasów państwowych i prywatnych, od lat kilku znacznie się poprawia. Dziki rozmnożyły się bardzo w północnej części powiatu, dzięki specjalnej opiece, a głównie dokarmianiu w czasie zimy.

Niektóre większe obwody, znajdujące się w rękach prawdziwie dobrych myśliwych i hodowców liczą po kilkadziesiąt sztuk sarn i jeleni.

Stan zajęcy w niektórych obwodach, poprawia się bardzo z roku na rok. Z ptactwa, kuropatw w roku bieżącym było znacznie mniej, niż lat ubiegłych, przepiórek prawie że nie było, natomiast znacznie poprawił się stan cietrzewi; bażanty obecnie dopiero zostały zaprowadzone i są w niewielkiej ilości.

Aczkolwiek powiat ma stosunkowo dużo wody, bo położony jest w całej długości nad Wisłą, to jednak ilościowo stan ptactwa błotnego z roku na rok wybitnie się zmniejsza.

I tu znów „wielką pomocą" naszą pod względem hodowlanym, są kochani pastuszkowie, którzy włóczą się za krowami i to koniecznie z psami i z nudów poprostu; bo przecież taki pastuszek, mając zaledwie dwie lub trzy krowy, robi wyprawy i to przeważnie na wiosnę sam, a częściej w towarzystwie innych kolegów, mając oczywiście do pomocy kilka psów, na kaczki młode, lub jaja kacze.

Chorób epidemicznych wśród zwierzyny na terenie powiatu nie spostrzeżono.

CZESŁAW KAWECKI,
Delegat P. Z. S. Ł. na powiat Kozienice.

Z POWIATU LUBOML.

Sprawozdanie moje, z powodu pełnienia funkcji delegata powiatowego dopiero od sierpnia 1933 r., będzie nader pobieżne i noszące charakter więcej informacyjny.

Obszar powiatu lubomelskiego woj. wołyńskiego wynosi 208.558,89 ha. i graniczy z zachodniej strony z Bugiem, z południowej — z powiatem włodzimierskim, ze wschodniej — z pow. kowelskim i północno - wschodniej — z powiatem Kamień Koszyrski.

Kółek łowieckich na terenie powiatu niema.

Od wejścia w życie rozp. Prezydenta R. P. o prawie łowieckiem, do stycznia r. b. zarestrowano 73 obwody łowieckie o ogólnym obszarze 67.366 ha. Powyższe obwody łowieckie dzierżawione są bądź to indywidulnie przez osoby prywatne, bądź przez kilku zgrupowanych myśliwych. Taki stan rzeczy nie daje możności wprowadzenia ochrony na poszczególne gatunki zwierzyny, nie mówiąc już o dokarmianiu zwierzyny w czasie ostrej i niesprzyjającej zimy.

Wnykarstwo, szczególnie w północnej części powiatu, jak gmina szacka i polemicka, jeszcze w znacznym stopniu kwitnie, pomimo tępienia przez p. starostę powiatowego W. Maciejewskiego i miejscową policją. Walka ta jest bardzo trudna, a to z powodu rozsiedlenia się włościan tych gmin na chutory, na terenach błotnistych, krzaczastych i lesistych, gdzie napotyka się na trudności, nietylko w przyłapaniu wnykarza, lecz nawet w odnalezieniu chutoru. Jednakże wnykarstwo stopniowo znacznie zmniejsza się, zawdzięczając surowym karom, jakie nakłada starostwo. Kłusownictwa w powiecie nie byłoby zupełnie, gdyby nie sąsiadująca z gm. Szack wieś Orzechowo z pow. Włodawa, gdzie dosłownie każdy włościanin — kłusownik. Osobnicy ci, mieszkając nad granicą lasów państwowych nadleśnictwa szackiego, zbierają się in gremio całemi bandami i uprawiają kłusownictwo w białe dnie w lasach państwowych. Nadzwyczajne walki p. p. i funkcjonarjuszy lasów państwowych, a następnie surowe kary nie dają pożądanych rezultatów.

W roku 1933 starostwo wydało 55 kart łowieckich.

W roku 1933 ukorano za kłusownictwo 9 osób i za nielegalne posiadanie broni myśliwskiej 7, a pozostaje jeszcze w toku za kłusownictwo i nielegalne posiadanie broni 16 spraw.

Zwierzostan na terenie powiatu naogół jest średni.

Stan poszczególnej zwierzyny przedstawia się następująco:

a) Dziki: Stan ogólny — zadowalający. Dziki trzymają się przeważnie w lasach państwowych, lecz z powodu ruchu w tych lasach, jak czyszczenia działek, rąbania i wywozu materjału budulcowego i drzewa opałowego, oraz z braku pożywienia (w tym roku był nieurodzaj żołędzi), dziki nieuchwytnie wędrują po polach, krzakach i zaroślach (chutorach) włościańskich i wyrządzają nieladajakie szkody. Od najścia tych rabusiów rolnicy bronią się wszelkiemi prymitywnemi środkami, a więc stawiają na polach straszaki, uwiązują na tyczkach butelki, a obok nich kawałki blachy, co przy małym ruchu wiatru wydaje dźwięk, rozniecają ogniska i nareszcie nocami szczególnie w lecie pilnują sami uzbrojeni w skrzypce, bębny i t. p. muzykalne instrumenty, lecz niezawsze ma to dobry skutek.

Osobiście mi opowiadano, że taki rolnik, chroniąc swe mienie, całą noc usilnie bije w bęben na jednym końcu działki, a dziki najspokojniej niszczą jego kartofle, proso lub owies — w drugim końcu.

b) Sarny stan sarn w ostatnich latach znacznie zmniejszył się z powodu wilków, które znacznie się rozmnażają.

c) Lisy: stan lisów powiększył się.

d) zające szaraki: stan w porównaniu z latami ubiegłemi b. znacznie powiększył się.

e) Głuszców od czasu wojny zupełnie niema.

f) Cietrzewi naogół jest sporo.

g) Kuropatwy w porównaniu z rokiem ubiegłym stan zwiększył się znacznie.

h) Przepiórek niema zupełnie.

j) Dubelty — w nieznacznej ilości.

k) Bekasy — w nieznacznej ilości.

l) Jarząbki — stan polepsza się.

ł) Kaczki — stan, możnaby powiedzieć — bardzo dobry, gdyby włościanie już 29 czerwca nie tępili nielatków nocami po małych błotkach i bajorkach. Co do stanu kaczek w roku bieżącym, to z pewnością można powiedzieć, że znacznie on się pogorszy, wskutek przeprowadzonej meljoracji.

m) Borsuki — bardzo mało.

n) Gęsi — niema.

o) Słonki — stan zadowalający.

p) Bataljonów — niema.

Praca delegata P. Z. S. Ł. Przychodzę do przekonania, że współpraca delegata w celu podniesienia zwierzostanu w powiecie, jak również i w innych sprawach, związanych z łowiectwem, będzie narazie trudna ze względu na bierne usposobienie ogółu, z wyjątkiem nielicznych jednostek, doceniających znaczenie łowiectwa wogóle, lecz nie tracę nadziei na przyszłość, tembardziej przy łaskawej i chętnej współpracy, tak energicznego i zamiłowanego myśliwego, jakim jest nasz starosta powiatowy, p. Witold Maciejewski, który osobiście czuwa nad ochroną łowiectwa.

FRANCISZEK TWERD,
Delegat P. Z. S. Ł. na pow. Luboml.

Z POWIATU KOSTOPOL.

Powiat kostopolski województwa wołyńskiego zajmuje powierzchnię około 3500 klm. kwadratowych z ilością 159841 mieszkańców; powierzchnia, przeważnie lesista o charakterze poleskim, przedstawia się następująco: lasów 168692 ha, roli 92710 ha, łąk 44470 ha, reszta około 40000 ha przypada na drogi, nieużytki i wody. Przez powiat przepływają rzeki Słucz i Horyń, z północy na południe przecina go linja kolejowa Sarny — Równe. Państwowe lasy o obszarze 35483 ha składają się z następujących nadleśnictw: Kostopol, Podłużne, Maszcza, Mokwiń, Czartorysk, część rówieńskiego i część suskiego nadleśnictwa. W nadl. Maszla są tereny dla polowań reprezentacyjnych.

W 1933 r. było zarejestrowanych 59 obwodów własnych na przestrzeni 101283,65 ha, obwodów wspólnych 23 na przestrzeni 22733 ha. Obwody własne przekraczają pięciokrotnie obwody wspólne, gdyż włościanie niechętnie tworzą spółki łowieckie, obawiając się nowych obciążeń podatkowych; gdzieniegdzie udaje się namówić włościan do tworzenia obwodów wspólnych. Dotychczas powstały 2 kółka łowieckie: w Kostopolu pod nazwą „Nie pudłuj" i w Bereznem „Berezeńskie kółko myśliwskie", zapewne obydwa zapiszą się do Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich. W lasach państwowych nadl. Mokwin dzierżawi tereny myśliwskie kółko łowieckie z m. Równego, z sąsiedniego powiatu.

Starostwo kostopolskie wydało w 1933 r. 534 pozwoleń na broń, t. j. o 56 mniej, niż w r. 1932. Kart łowieckich wydano w 1933 r. tylko 131, a więc o 18 mniej niż w r. 1932, jeżeli porównamy ilość wydanych kart łowieckich do przestrzeni zarejestrowanych obwodów, to wypadnie jedna karta łowiecka na 947 ha. Walka z kłusownictwem prowadzona jest energicznie przez policję i z dobrym wynikiem, o czem świadczy zmniejszanie się ilości protokółów policyjnych z roku na rok. W 1933 roku sporządzono 101 protokółów policyjnych w sprawach przekroczeń ustawy łowieckiej (w 1932 r. — 168 protokółów), wymierzono kary administracyjne za nielegalne utrzymywanie broni w 82 wypadkach, (w 1932 r. w 149 wypadkach), za kłusownictwo i inne naruszenia ustawy łowieckiej ukarano winnych w 86 wypadkach, (w 1932 r. w 63 wypadkach). Kary wymierzano administracyjne od 50 do 200 złotych grzywny, a w razie niemożności zapłaty karano aresztem. Jeszcze dla uzupełnienia obrazu prowadzonej walki z kłusownictwem wystaram się z sądów grodzkich oraz majątków prywatnych o dane, które w przyszłości będę mógł przedłożyć. Ostatnia lekka zima bardzo się przyczyniła do powiększenia ilości sarn i zajęcy, natomiast kuropatwy bardzo się słabo rozmnażają z powodu dużej ilości jastrzębi, a zwłaszcza gołębiarzy, z któremi właściwie żadnej walki nie prowadzi się, również stan jarząbków stale się zmniejsza. Ilość głuszczów i cietrzewi zwiększyła się w porównaniu z latami ubiegłemi; dziki, których dużo wyginęło wskutek pomoru, panującego przez 4 laty, obecnie rozmnożyły się; ilość wilków, jak przypuszczam, nie zmniejsza się, w sąsiednim powiecie sarneckim jest ich jednak znacznie więcej. Należy sądzić, że przy zwiększeniu stanu sarn będą się i wilki pojawiały w większych ilościach. Poluje się na nie

najskuteczniej przy pomocy fladr. Lisy, które w czasie powojennym prawie zupełnie wyginęły, rozmnażają się od paru lat.

Obecnie na terenie województwa organizuje się „Wołyńskie Stowarzyszenie Łowieckie" o charakterze ideowym, które zapewne zapisało się do Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich, jak to zostało uchwalone na pierwszem zebraniu organizacyjnem.

JÓZEF STECKI
Delegat P. Z. S. Ł. na pow. Kostopol.

Z POWIATU OSTROŁĘKA.

Na terenie powiatu Ostrołęka (woj. białostockie) istnieją następujące stowarzyszenia łowieckie: 1. Ostrołęckie Tow. Łowieckie, mające około 30 członków, dzierżawi około 2000 ha terenów włościańskich — w zeszłym roku dzierżawiło jeszcze 3000 ha terenów państwowych. W roku sprawozdawczym zaniechało dzierżawy z powodu wysokiej tenuty dzierżawnej.

Jestem honorowym członkiem tego T-wa, prezesem obecnie jest p. nacz. Baranowski, sekretarzem p. August Zdziennicki. Towarzystwo należy do Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich.

2. Kółko Oficerskie 5 pułku Ułanów w Wojciechowicach — dzierżawi teerny włościańskie.

3. Wiejskie Kółko Łowieckie w Łasku pod Ostrołęką ma około 40 członków, należy do Centrali Włościańskich Kółek Łowieckich w Warszawie*). Dzierżawi tereny włościańskie, względnie każdy członek daje swój dzierżawiony teren na rzecz kółka.

4. Wiejskie Kółko w Cieńsku gm. Myszyniec dzierżawi tereny wiejskie.

Pozatem w powiecie istnieje Powiatowa Rada Łowiecka, której jestem prezesem.

Powiat jest podzielony na rejony z delegatami rejonowymi lokalnymi.

Śledzę z ewidencji osoby, otrzymujące karty łowieckie. Na skutek moich interwencyj były wypadki odmowy ze strony p. starosty wydawania kart łowieckich.

W r. 1933 wydano 59 kart łowieckich.

Akcja powstawania obwodów łowieckich następuje w miarę wydawania kart łowieckich. Starostwo nie daje kart łowieckich, jeśli myśliwy nie ma terenu zarejestrowanego. Ilość obwodów łowieckich zerejestrowanych była 54.

Starostwo chętnie udziela mi wyjaśnień i współdziała ze mną.

Powiat Ostrołęka pod względem ilości zwierzyny jest ubogi. Ludność kurpiowska, przyzwyczajona od wieków do myślistwa, a obecnie do kłusownictwa i wnykarstwa, tępi nadmiernie zwierzynę, a również ubogie gleby nie sprzyjają jej rozwojowi.

Dziki występują tylko przejściowo — przechodnie, w latach ubiegłych były stałe dziki w majątku Szczawin p. Glinki, w roku sprawozdawczym i tam stały się tylko przechodniemi. Zajęcy w części północnej powiatu, na Kurpiach, stan jest nieco gorszy, niż w roku zeszłym, w części połud. wschodniej powiatu, a szczególnie w gm. Piski stan lepszy. Przypisać to należy ochronie gminy; dzierżawi tam polowanie p. starosta i komendant p. p. i dzięki temu ochrona jest wzmocniona. Na 3 jednodniowych polowaniach w gm. Piski, urządzanych przez p. starostę padło: 76, 64, 45 zajęcy w około 10 strzelb. W północnej części powiatu pada około 10—20 zajęcy, na polowaniach leśnych pada przytem 1 do 3 lisów. W powiecie można liczyć około 3500 zajęcy. Kuropatw jest dosyć dużo — szczególnie w połud. wschodnich gminach, na 100 ha wypada ze 2 stada. Sarn jest około 250 sztuk.

Poważniejszych chorób zwierzyny nie zauważono.

Skonfiskowano w roku 1933 broni myśliwskiej 49 sztuk. Spraw o przekroczenie ustawy łowieckiej zasądzono 36.

W powiecie jest 6 nadleśnictw państwowych, obszar lasów państwowych obejmuje około 30000 ha. Tereny lasów państw. nie są obecnie wydzierżawione.

Nadleśnictwa urządzają po jednem polowaniu reprezentacyjnem, jedno lub dwa polowania dochodowe i 1 administracyjne. Na takich polowaniach pada 10 — 20 zajęcy i 1 do 3 lisów, czasem cietrzew.

*) Organizacja ta, jak nam wiadomo, już dawno nie istnieje. *(Przyp. red.)*

Gospodarka łowiecka w lasach państwowych jest prowadzona w ten sposób, że uprawia się poletka karmowe dla zwierzyny, sieje się żarnowiec, bulwę, jarmuż. Przygotowuje się karmę zieloną w lecie, którą oddaje się zimą sarnom. Urządza się lizawki.

Inż. IGNACY IGLIKOWSKI,
Delegat P. Z. S. Ł. na powiat Ostrołęka.

DELEGACI POWIATOWI.

Wydział Wykonawczy zatwierdził kandydatury na delegatów powiatowych Związku:

w województwie lubelskiem —
pp. Zygmunta Jaźwińskiego (Radzyń podl., Borki) i Stanisława Ośnialowskiego (Radzyń podl., Żabików) — na powiat Radzyń podl.,

w województwie łódzkiem —
p. Pawła Deutschmanna (Kalisz, Biernatki) — na powiat Kalisz,

w województwie nowogródzkiem —
p. rtm. Henryka Buszyńskiego (Werenów, Kondraciszki) — na powiat Lida,
p. dr. Karola Przysieckiego (Nieśwież) — na powiat Nieśwież,

w województwie warszawskiem —
pp. Tadeusza Pszczółkowskiego (Błędów, Mochnatka) i Adolfa Szonerta (Warka, Laski) — na powiat Grójec.

Lista kandydatów — ogłoszona po raz trzeci.

ZE STOWARZYSZEŃ ZWIĄZKOWYCH.

KOMUNIKAT POINTER KLUBU W POLSCE.

Pointer Klub w Polsce komunikuje, że wiosenne próby polowe (field-trialsy) dla psów myśliwskich angielskich ras, jakie urządza na terenach dóbr Wilanów, odbędą się 22 kwietnia b. r.



Miot szczeniąt rasy pointer po „Janko" S. K. K. S. 485 B. B. i L. O. S. H. 47571 z matki „Blackfield Edith" L. O. S. H. 41501. Fot. K. Kamieński.

Uczestniczyć w próbach mogą psy zapisane, lub mające prawo być zapisanemi do ksiąg rodowych.

Próby przewidziane są w dwóch klasach: młodzieży (nagroda „Derby") dla psów i suk w wieku do 18-tu miesięcy i otwartej — dla psów i suk bez różnicy wieku.

Regulamin prób opracowano na zasadach regulaminów Angielskiego Kennsel-Klubu i Federation Cynologique Internationale w Belgji.

Oprócz wartościowych przedmiotów, jako nagrody dla zwycięzców, będą przyznawane dyplomy na 1, 2 i 3 rezerwowe miejsca, oraz „zaświadczenia polowe".

Zapisy przyjmuje sekretarjat Klubu (Nowy Świat 35, w lokalu Polsk. Związku Stow. Łow.) codziennie pomiędzy godz. 5 a 7.

OFIARA.

Klub Myśliwski św. Huberta w Łodzi, przekazał nam sumę zł. 42.— z przeznaczeniem: zł. 20,— na wdowy i sieroty po poległych w walce z kłusownictwem (zebrane na polowaniu 13-go stycznia b. r.), oraz zł. 22,— na ociemniałych.

Imieniem obdarowanych przesyłamy ofiarodawcom najserdeczniejsze: Bóg zapłać.

Wydział Wykonawczy P. Z. S. Ł.

NOWA NAZWA NABOJÓW ŚRUTOWYCH Z. A. „POCISK" S. A.

Otrzymaliśmy następujący komunikat Z. A. „Pocisk" S. A.:

„Nawiązując do treści naszej ankiety z dnia 10-go stycznia 1934 r. w sprawie ustalenia nazwy dla śrutowego naboju myśliwskiego wyrobu naszych Zakładów, edycji 1934 roku z okazji 10-cio lecia produkcji amunicji myśliwskiej w naszych Zakładach, niniejszym mamy zaszczyt podziękować najuprzejmiej wszystkim tym, którzy zechcieli przyjąć łaskawie udział w naszej ankiecie i przytaczamy poniżej dosłowną treść protokółu Sądu Konkursowego:

„Na zaproszenie Zarządu Zakładów Amunicyjnych „Pocisk" S. A., Sąd Konkursowy w osobach pp. Generała Stanisława Skrzyńskiego, Prezesa Wacława Szperlinga i Profesora Jana Szczepkowskiego, na posiedzeniu w dniu 27-go lutego 1934 r., wyróżnił niżej wyszczególnione nazwy śrutowego naboju myśliwskiego, wyrobu Z. A. „Pocisk" edycji 1934 roku, z okazji 10-cio lecia produkcji amunicji myśliwskiej Z. A. „Pocisk", stosownie do ankiety z dnia 10-go stycznia 1934 r. i w drodze losowania (wobec większej ilości jednobrzmiących nazw) — przyznał:

I nagrodę w postaci 500 śrutowych nabojów wyrobu Z. A. „Pocisk" p. Janowi Ossowskiemu z Owczarek pod Grudziądzem, za nazwę „D a r z b ó r",

II nagrodę w postaci 300 śrutowych nabojów wyrobu Z. A. „Pocisk" p. Leonowi Jasińskiemu z Piotrkowa Trybunalskiego, za nazwę „P e r k u n",

III nagrodę w postaci 200 śrutowych nabojów wyrobu Z. A. „Pocisk" p. J. Zubrzyckiemu z Wilkowa pod Kocmyrzowem, za nazwę „T r a f", i

IV nagrodę w postaci 100 śrutowych nabojów wyrobu Z. A. „Pocisk", p. Jerzemu Dylewskiemu z Warszawy, za nazwę „J u b i l e u s z o w y".

Warszawa, dnia 27 lutego 1934 r.

Przewodniczący: (—) *St. Skrzyński gen.*

Członkowie Sądu: (—) *W. Szperling*, (—) *J. Szczepkowski*"

Podając treść powyższego protokółu do wiadomości wszystkich PP. Myśliwych i Sympatyków Braci Św. Huberta, składamy najserdeczniejsze podziękowanie P. Generałowi St. Skrzyńskiemu, P. Prezesowi W. Szperlingowi i P. Profesorowi J. Szczepkowskiemu za łaskawie przyjęty trud dokonania wyboru nazwy nowego naboju śrutowego i podziału nagród wobec bogatego materjału ankietowego (około tysiąca odpowiedzi) i wyrażamy wielką radość, że wyróżniona na I miejscu nazwa „Darzbór" odpowiada jak najbardziej intencjom naszych Zakładów wypuszczenia w roku jubileuszowym nowego naboju śrutowego, znacznie ulepszonego od poprzedniej produkcji.

Z jak najserdeczniejszem staropolskiem pozdrowieniem myśliwskiem

DARZBÓR.
Z. A. „POCISK" S. A."

KŁUSOWNICTWO.

(—jb.—) Dowiadujemy się z Częstochowy, że sąd okręgowy rozpatrywał szereg spraw o kłusownictwo. W znacznej liczbie rozpatrzone były odwołania od wyroków, wydanych w drodze administracyjnej przez starostwa.

Wśród spraw tych znalazło się także odwołanie mieszkańców wsi Lipie, Anastazego Seligi i Franciszka Gracy, którzy w grudniu roku ubiegłego z zamiłowaniem i uporczywością uprawiali wnykarstwo na zające.

Sąd okręgowy, po rozpatrzeniu wszelkich okoliczności, wydał wyrok, skazujący obydwu oskarżonych na grzywnę po zł. 300 oraz 2 tygodnie bezwzględnego aresztu.

Grywnę zamieniono na areszt czternastodniowy.

Przekonani jesteśmy, że tak surowa kara, na jaką wnykarze w zupełności zasłużyli, będzie przestrogą dla idących w ich ślady.

WŁAŚCICIELE ŁOWISK! UBEZPIECZAJCIE SWOJĄ STRAŻ ŁOWIECKĄ NA WYPADEK ŚMIERCI LUB KALECTWA W WALCE Z KŁUSOWNICTWEM — JEST TO WASZYM KARDYNALNYM OBOWIĄZKIEM.

(—jb.—). Gajowy lasów wojnowskich (powiat opatowski), Stanisław Nitko, w czasie obchodu, natknął się w swym rewirze na dwóch uzbrojonych kłusowników.

Wzywani do zatrzymania się, nie usłuchali i poczęli uciekać.

W czasie pościgu, w kierunku gajowego padły dwa strzały, które szczęśliwie chybiły.

Kłusownicy zdołali zbiedz, policja jednak prowadzi energiczne dochodzenie i jest już na ich tropie.

DOBRE I ZŁE.

— Ostatni numer „Trąbek myśliwskich", wychodzących jako bezpłatny dodatek do wileńskiego „Słowa", pod redakcją p. Michała K. Pawlikowskiego, przynosi wiadomość od redakcji, że numer ten rozpoczyna kolejną numerację dalszego wydawnictwa od Nr. 1 (ogólnego zbioru od r. 1926-go 60-ty).

W numerze tym, jak i w paru poprzednich, uwidoczniona jest wzmożona praca organizacyjna Towarzystwa Łowieckiego Ziem Wschodnich w odniesieniu do powiatowych delegatów P. Z. S. Ł. na terenie Oddziału. Między innemi ogłoszono odezwę jednego z delegatów, p. Bolesława Sulima-Samujłły (pow. Dzisna), który w porozumieniu ze starostwem wydał ją do myśliwych swego rejonu. Odezwa przeciwstawia się nadużywaniu przez myśliwych cudzych, a niezarejestrowanych i przez nikogo niedzierżawionych terenów; wytyka nierejestrowanie terenów własnych przez niektórych myśliwych, nazywając jedno i drugie pogwałceniem przepisów łowieckich, co uniemożliwia utrzymanie porządku w łowiectwie i zwalczanie nielegalnych polowań. Dalej nawołuje do dokładnego zaznajamiania się z prawem łowieckiem oraz sankcjami karnemi za nieprzestrzeganie tego prawa. Wreszcie wzywa do jak najenergiczniejszego zwalczania kłusownictwa.

Oceniając treść i formę odezwy i intencje jej autora, który w naszych oczach godny jest jedynie słusznego uznania z powodu tak łowieckiego i obywatelskiego pojmowania obowiązku delegata powiatowego, należy jednocześnie wyrazić jak najgłębsze ubolewanie, a zarazem zdziwienie, że, jak podaje przypisek redakcji pod odezwą, wywołać ona miała wśród miejscowych myśliwych burzę...

Słuszne zakończenie przypisku redakcyjnego brzmi: „Cześć działaczom łowieckim, którzy podobne burze sieją".

— Na szczególną uwagę zasługuje także cięty, pełen gorzkiej ironji, artykulik p. t. „Pięć białych kruków" (bez nazwiska autora), omawiający, jak piękną i zbawienną w skutki mogłaby być praca aż 51 delegatów powiatowych województwa wileńskiego, gdyby... Osobno też artykulik ten podkreśla znamienny fakt „powszechności" kulturalnych i intelektualnych potrzeb tej gromadki delegatów. Oto na 51 oficjalnych przedstawicieli łowiectwa prenumeruje „Łowca Polskiego" tylko 5 (pięciu) — reszta 46 nie uczuwa tej potrzeby, stanowiąc obok pięciu białych kruków, czeredę 46-ciu czarnych...

— W Nr. 2. (luty 1934) „Ech Leśnych" spotykamy między innemi artykuł p. B. Zarzyckiego p. t. „O równowadze w przyrodzie". Autor podnosi tam nader ważną w życiu lasu rolę mrówek, oraz ptaków owadożernych, niszczących wszelkie gąsienice, groźne dla lasu. Przypomina sówkę chojnówkę, której inwazja tak wielkie poczyniła szkody w poznańskiem. Wymienia, jako zasługujące na pomoc w rozmnoży i opiekę u człowieka: szpaki, sikorki, dzięcioły, kowoliki, krętogłowy, pełzacze i inne.

Natomiast podkreśla, jak wielkie niebezpiecznego wroga posiadają te ptaszki w wiewiórce, która je wyniszcza przez zjadanie ich jaj, a między innemi i takich gatunków, jak jarząbek, cietrzew i t. p.

Zaleca w końcu, by leśnicy zwracali uwagę na to, aby wiewiórki zbytnio się nie mnożyły.

Obok krogulca zatem, znanego wszystkim dobrze tępiciela ptaków śpiewających, nie należy pod tym względem lekceważyć miłego zewnętrznie gryzonia, jakim jest wiewiórka. Autor powołuje się w tej sprawie na 40-to letnie obserwacje leśniczego J. Wojewódzkiego.

Ze względu na jaja ptaków łownych, gnieżdżących się w lasach, muszą się z tem liczyć również myśliwi-hodowcy.

WUZET

ROZMAITOŚCI.

WCZESNE TOKI GŁUSZCOWE.

(—zet.—). Jak nam komunikują z Dyrekcji Lasów Państw. w Białowieży, toki głuszcowe rozpoczęły się w bieżącym roku niesłychanie wcześnie, jakkolwiek obecnie znowu uległy przerwie.

Ciepłe dni w końcu lutego spowodowały, że głuszce w Białowieży zaczęły grać rankiem 28-go lutego. Zaobserwowano cztery koguty, grające pierwszorzędnie, jak podczas roztokowanego sezonu kwietniowego.

Dnia 28-go lutego popołudniu temperatura znacznie spadła i słyszano rankiem 1-go marca już tylko jednego tokującego koguta.

Wobec dalszego spadku temperatury, wiatrów i śnieżnych zamieci, głuszce grę przerwały całkowicie.

NIECODZIENNA ZDOBYCZ.

(—zet.—). W dniu 22 października ub. r. został zastrzelony przez członka Oficerskiego Klubu Łowieckiego w Grodnie, p. Joachima Wasilewskiego, porucznika w st. sp., na bagnie Omch, w gminie Dubno, powiatu grodzieńskiego, orzeł przedni *(Aquila nobilis)*, bardzo stary samiec.



Orzeł przedni, ubity przez por. w st. sp. p. J. Wasilewskiego, ofiarowany do Zamku Panu Prezydentowi Rzplitej.

Okaz ten został przekazany przez p. Wasilewskiego do Miejskiego Muzeum Ornitologicznego w Grodnie. W listopadzie ub. r., w czasie uroczystości ku czci Stefana Batorego w Grodnie orła ofiarowano Panu Prezydentowi Rzeczypospolitej i obecnie zdobi on ścianę jednej z sal Zamku w Warszawie.

REGJONALNA WYSTAWA ŁOWIECKA W ŁOMŻY.

Do pp. Członków Powiatowej Rady Łowieckiej w Łomży.

W celu spopularyzowania łowiectwa w powiecie, a także i w celu postawienia na odpowiednim poziomie hodowli psów myśliwskich, Prezydjum Powiatowej Rady Łowieckiej w Łomży przystępuje do zorganizowania w czasie Zielonych Świątek, a więc w dniach 20 i 21 maja b. r. regjonalnej wystawy łowieckiej w Łomży.

Protektorat nad wystawą raczył objąć Pan Wojewoda Marjan Zyndram-Kościałkowski.

Wystawa obejmować będzie następujące działy:

1. Trofea łowieckie wszelkiego rodzaju, a więc rogi, szable dzicze, skóry, wypchane ptaki, zwierzęta i t. p.
2. Wykresy i dane statystyczne, dotyczące hodowli zwierzyny i walki z kłusownictwem na terenie powiatu łomżyńskiego. Pożądane jest również wystawienie w tym dziale broni, odebranej kłusownikom, sideł, wnyków i t. p.
3. Literatura i fotografja myśliwska.
4. Psy myśliwskie.

Nagradzane będą eksponaty z działu 1 i 4 i to jedynie te, które pochodzą z powiatu łomżyńskiego, jednak i za eksponaty, wystawione poza konkursem, mogą być przyznawane dyplomy uznania.

Jednocześnie z klasyfikowaniem eksponatów będzie przeprowadzona klasyfikacja tych, które zostaną dopuszczone na wystawę wojewódzką, odbyć się mającą w Białymstoku na jesieni r. b.

Drugiego dnia wystawy projektowane jest urządzenie konkursu w strzelaniu do rzutków, odbycie się jednak tego strzelania uzależnione jest od odpowiedniej ilości zgłoszeń.

Podając powyższe do wiadomości, Komitet Organizacyjny Wystawy Łowieckiej w Łomży zwraca się jednocześnie z gorącym apelem do wszystkich pp. myśliwych powiatu łomżyńskiego o jak najszersze poparcie wystawy i obesłanie jej wszelkiemi możliwemi eksponatami, które mogą zainteresować świat łowiecki.

Za Komitet Organizacyjny Wystawy Łowieckiej w Łomży:

Przewodniczący: inż. K. KOMIEROWSKI

PRZEGLĄD WYDAWNICTW.

Kwartalny biuletyn informacyjny, wydawnictwo biura delegata Ministra W. R. i O. P. do spraw ochrony przyrody. Rok IV, Nr. 1, styczeń 1934 r.

1. Sprawozdanie z XVII zjazdu Państw. Rady Ochrony Przyrody, odbytego w dniu 13 stycznia r. b. w Warszawie; 2. Okólnik Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego o współpracy władz szkolnych z Organami Ochrony Przyrody i 3. inne wiadomości, dotyczące parków narodowych, rezerwatów, pomników przyrody; sprawy organizacyjne, wiadomości zagraniczne, wreszcie sprawy wydawnicze.

Zjazd P. R. O. P. odbył się pod przewodnictwem Podsekretarza Stanu ks. prof. dr. B. Żongołłowicza, przy uczestnictwie 20-tu członków Rady, oraz reprezentantów ministerstw, delegatów urzędów wojewódzkich, dyrekcyj lasów państwowych i wreszcie instytucyj i towarzystw naukowych.

Najważniejszym momentem zjazdu sprawozdawczego było zawiadomienie o uchwaleniu przez Radę Ministrów projektu ustawy o ochronie przyrody, wniesionego już do Sejmu.

Drugą zdobyczą jest fakt nabycia przez skarb państwa ca 8.000 ha dóbr tatrzańskich Fundacji Kórnickiej na park narodowy, trzecią otwarcie parku narodowego pod Poznaniem, wreszcie czwartą, wcale nie mniejszej doniosłości — wydanie okólnika Ministra W. R. i O. P. do kuratorów okręgów szkolnych o współpracy władz szkolnych z organami ochrony przyrody.

Okólnik ten, o którego wydanie upominało się na łamach swej prasy od wielu lat łowiectwo polskie, ogarnie swą akcją wykonawczą cztery miljony dzieci, których stosunek do przeróżnych gatunków naszej fauny odbijał się ujemnie w bardzo poważnych rozmiarach między innemi na zwierzostanach łownych, przygotowując jednocześnie bezkrytyczną i bezwzględną psychikę przestępców prawa łowieckiego w przyszłych pokoleniach.

Okólnik ten świat łowiecki powinien powitać z całem uznaniem i wdzięcznością dla jego inicjatorów i twórców, sam będąc również moralnym jego inspiratorem.

W dziale parków i rezerwatów wymienione są rezerwaty: Bełda, Grzędy i Czerwone Bagno w nadleśnictwie państwowem Rajgród, mające ochronić stanowiska łosi, najbardziej wysunięte w Polsce na zachód.

W tymże dziale ad „Pomniki przyrody", w punkcie 5-ym omawiany jest stan bobrów w rezerwacie nad rzeką Żegulanką w nadl. Bronna Góra i Iwacewicze, który w ciągu lat sześciu powiększył się zaledwie o 9 sztuk (z 19 do 28 okazów). Ponieważ samice bobrów miewają przeciętnie po 2—3 młodych co roku, przyrost taki nie odpowiada najzupełniej naturalnym możliwościom rozmnoży i należy wobec tego szukać innych, bardzo

poważnych, a ubocznych przyczyn takiego stanu rzeczy. Jak podaje biuletyn: „nadleśnictwa zwróciły uwagę na opowiadania ludności, że wydry zagryzają małe bobry. Ponieważ informacje te pokrywają się z obserwacjami, podanemi w amerykańskiej literaturze naukowej w odniesieniu do bobra kanadyjskiego, zatem postanowiono przeprowadzić bardzo ostrożny odstrzał wydr. Najodpowiedniejszą do tego porą będzie koniec lutego, t. j. pora godowa wydr, które, wychodząc na lód w czasie księżycowych nocy, stają się mniej ostrożne, niż zwyczajnie".

W tem miejscu należy podziwiać flegmę i spokój organów P. R. O. P., bowiem, jeśli mimo stwierdzenia olbrzymich szkód, wyrządzanych przez wydry wśród ochranianych skrzętnie i z dużym nakładem kosztów bobrów, wydano zarządzenie „ostrożnego odstrzału" wydr w rezerwacie, to rezultaty rozmnożenia tam bobrów i nadal nie okażą się zbyt wielkie. (Przypuszczalny przyrost bobrów w danym rezerwacie w ciągu 6 lat, jeśli przyjąć tylko stan pierwotny na 9 samic, powinien się wyrazić w ilości 108 sztuk przy corocznym miocie 2-ch młodych od samicy, nie licząc przyrostu progresywnego wskutek dochowania się potomstwa od przybywających w ciągu tego okresu czasu młodych samic).

Naszem zdaniem, jedynie wydanie bezwzględnego wyroku, zalecającego tępienie wydr w rezerwacie, może odnieść pożądany skutek i osiągnąć cel rozprowadzenia bobrów, które wszakże podlegają upadkowi i z innych przyczyn. Trzeba sobie mianowicie zdać sprawę z tego, jak nadzwyczaj trudnem, wymagającem wiele energji myśliwskiej i poświęcenia, jak ciężkiem i zniechęcającem jest polowanie na wydry, odbywające się jedynie na czatach. W danym wypadku, oprócz polowania drogą odstrzału w porze godowej, należałoby zalecić i zastosować wszelkie inne sposoby, mogące doprowadzić do przetrzebienia najwidoczniej zbyt licznej obecności wydr w rezerwacie.

WUZET.

KRONIKA MYŚLIWSKA.

W ordynacji dawidgródeckiej Karola ks. Radziwiłła w dniach 30, 31 stycznia i 1 lutego r. b. odbyło się polowanie na dziki ostępami. W polowaniu wzięli udział pp.: Jan Ciechanowski, Karol Ender, Włodzimierz Korsak, pułk. Witold Morawski, Konrad Niemojewski, Paweł hr. Potocki, Hieronim ks. Radziwiłł, Karol ks. Radziwiłł, Adolf Steinhagen i Jerzy Sękowski.

Padło 11 odyńców, 11 loch, 4 wycinki oraz 36 przelatków i warchlaków, razem 62 sztuki.

WYKAZ ZWIERZYNY, UBITEJ W ROKU 1933 W DOBRACH SIELEC I BASZKÓW OLGIERDA KS. CZARTORYSKIEGO W WIELKOPOLSCE.

W czasie od 15 stycznia r. 1933 do 15 stycznia r. 1934 odbyły się w Sielcu i Baszkowie u Olgierda ks. Czartoryskiego następujące polowania:

29—30 września polowanie na pędzone kuropatwy w Sielcu. Na rozkładzie 420 kuropatw, 1 słonka, 11 różnych.

Polowali pp.: Zygmunt hr. Skórzewski, Jan hr. Broel Plater, Konstanty hr. Bniński, Henryk hr. Grocholski, Jan hr. Zyberk Plater, Adam hr. Potocki, Stefan Dąbrowski, Alfons Puklewski-Koziełł.

12, 13, 14 października polowanie na pędzone kuropatwy w Baszkowie i Rębiechowie. Na rozkładzie: 806 kuropatw, 5 różnych.

Polowali pp. Juljusz hr. Bielski, Adam hr. Starzeński, Jan hr. Sobański, Henryk i Władysław hr. Potoccy, Jan hr. Szołdrski, Zygmunt hr. Skórzewski, Władysław ks. Radziwiłł.

16 listopada polowanie w Rębiechowie na obszarze 100 ha zagajników i ca 300 ha pola, w 6 strzelb. Na rozkładzie: 141 zające, 346 bażantów, 14 kuropatw, 230 królików, 3 różne. Razem sztuk 734.

Polowali pp.: Janusz ks. Radziwiłł, Eryk Kurnatowski, Zygmunt hr. Skórzewski, Artur Borzewski, Hieronim ks. Radziwiłł, Roman ks. Czartoryski.

17 listopada polowanie na polach w Baszkowie. Opolowano w jednej sztrejfie i w 2 kotłach ca 1.200 ha. Na rozkładzie: 524 zające, 71 bażantów kogutów, 67 kuropatw, 8 różnych. Razem sztuk 670.

18 listopada polowanie polne w kotły na polach sieleckich w 12 strzelb. Opolowano w 6 kotłach ca 1.900 ha. Na rozkładzie: 1456 zajęcy, 71 bażantów kogutów, 161 kuropatw. Razem sztuk 1688.

Polowali pp.: Konstanty hr. Bniński, Stanisław Wyganowski, Artur Borzewski, hr. Stolberg Wernigerode, Janusz i Hieronim ks. Radziwiłłowie, Roman i Adam ks. Czartoryscy, Eryk Kurnatowski, Stefan hr. Tyszkiewicz, Józef hr. Potocki, Zygmunt hr. Skórzewski.

11 i 12 grudnia polowanie w bażantarniach i remizach polnych w Sielcu i Baszkowie. Na rozkładzie: 161 zajęcy, 607 bażantów, 13 kur baż., 142 króliki, 1 różne. Razem: 923 sztuki.

Polowali pp.: Gabriel ks. de Bourbon, wojewoda hr. Raczyński, Jan ks. Drucki-Lubecki, Roman i Piotr ks. Czartoryscy.

Pozatem odbył się szereg mniejszych polowań, po części w rewirach leśnych oraz na gruntach dzierżawnych, na których padło ogółem: 929 zajęcy, 41 bażantów kogutów, 11 kuropatw, 1 lis, 87 królików, 2 różne.

Prócz tego zostało ubite przez właściciela, gości i urzędników leśnych w ciągu roku: 1 daniel, 7 ład, 10 dzików, 20 kozłów (za specjalnem zezwoleniem) 48 zajęcy, 71 bażantów kogutów, 388 kuropatw, 5 słonek, 90 kaczek, 190 królików.

Ilość ubitej zwierzyny w ciągu roku 1933 przedstawia się więc w dobrach Sielec i Baszków następująco: 1 daniel, 7 ład, 10 dzików, 20 rogaczy, 3259 zajęcy, 1207 bażantów, 1880 kuropatw, 6 słonek, 90 kaczek, 658 królików, 20 różnych. Razem 7158 sztuk.

Pozatem padło zwierzyny drapieżnej i szkodników: 12 kun, 21 tchórzy, 25 lisów, 61 łasic, 83 psy, 154 koty, 112 jastrzębi 484 wrony, 22 czaple, 127 różnych. Razem 1123 sztuk.

Ogólna ilość zwierzyny łownej i szkodników, ubitych w ciągu roku 1933, wynosi więc 8281 sztuk. Jest to najwyższa cyfra, osiągnięta dotąd w dobrach Sielec i Baszków.

Obszar własnych terenów łowieckich w dobrach Baszków i Sielec, pow. Krotoszym i Rawicz (woj. poznańskie) wynosi ca 6.000 ha, rozdzielone w 5 kompleksów, w tem ca 3.500 ha lasów. Obszar dzierżawionych przyległych łowisk gminnych wynosi ca 5.500 ha w 19 gminach.

Opolowano 3/4 całego areału.

*

Z WOJSKOWEGO TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO GARNIZONU LIDA.

Sprawozdanie z polowań, urządzonych przez Towarzystwo w sezonie 1933/34.

W sezonie zajęczym urządzono 7 polowań zbiorowych z naganką.

Opolowano około 7000 ha. Na pozostałych terenach nie polowano, z wyjątkiem 1200 ha, gdzie wolno polować w pojedynkę.

Ogółem na 7-miu polowaniach zabito: 5 wilków, 4 lisy, 223 zające, 9 cietrzewi, 22 kuropatwy i 6 jarząbków.

Przeciętna ilość strzelb na polowaniu 10—11.

Z urządzonych polowań na wyróżnienie zasługuje polowanie w dniu 17 grudnia, wigilijne, połączone ze świętem 10-cio lecia istnienia towarzystwa, a urządzone na dzierżawionych terenach lasów państwowych, przylegających do terenów koszar. Zaznaczyć należy, że tereny te, oddalone o 300 m. od koszar, są strzeżone przez członków, niezależnie od straży leśnej i płatnego strażnika łowieckiego, a opolowane jeden raz w roku. Ogółem w pięciu pędzeniach padło 38 zajęcy i jeden cietrzew. O pudłach szczególnie do cietrzewi nie warto wspominać. Polowanie w tym dniu prowadził por. Boumiłło, który, znając stan zajęcy, zarządził strzelanie do zajęcy tylko przechodzących linję myśliwych i ograniczył ilość do zabicia na 40 szt. Zające, oswojone z ruchem przy koszarach, nie respektowały myśliwych, siadały przed każdym z nich z drwinami, następnie przy zbliżaniu się naganki zawracały do miotu. To samo było z lisem, którego instynkt skierował na początkującego nemroda, stojącego pod opieką ojca, a który z radości zaczął

krzyczeć „tatusiu — lis — lis". Przestraszony lis, kręcąc się między naganką, przeszedł do tyłu.

O godz. 13,30 polowanie zakończone zostało bigosem przy udziale zaproszonych gości z p.p nadleśniczym i leśniczymi nadleśnictwa lidzkiego.

Piękny stan zajęcy zawdzięczamy tylko por. Boumille, zamiłowanemu hodowcy, który każdą chwilę wolnego czasu poświęca sianiu wzgl. sadzeniu paszy zielonej, jak żarnowiec, rzepak, jarmuż i bulwa, zaś zimą dokarmianiu zwierzyny. Pomocnym mu jest zamiłowany hodowca, p. leśniczy Grabowski.

Stan zwierzyny znacznie poprawił się i są widoki na lepsze zawdzięczając nowemu p. staroście lidzkiemu, który sprawy łowieckie traktuje bardzo poważnie, opiekując się łowiectwem i surowo karząc wszystkie wykroczenia przeciw prawu łowieckiemu. Sekretarz: *STARAKIEWICZ.*

— W Komienpolu, p. Wiesława Światopełk-Mirskiego dnia 13 stycznia r. b. w 9 strzelb ubito 47 zajęcy, 6 jarząbków i 2 pardwy. W tychże dobrach w dniu 17 stycznia r. b. w 5 strzelb ubito 3 rysie i 4 wilki. Na polowaniu, prócz gospodarza, byli pp. M. Goryniewski, H. Sokołowski, L. Sulimierski i S. Stanilewicz. Rysie upolowano za zezwoleniem na odstrzał, udzielonem przez województwo.

— W Bielmoncie, p. M. Mikulicza-Radeckiego w rezultacie 4-dniowych łowów (7—10 stycznia r. b.) ubito 2 rysie i 6 wilków. Prócz gospodarza obecni byli pp. Paweł hr. Potocki, W. Światopełk-Mirski, H. Sokołowski, L. Sulimierski i S. Stanilewicz.

WYKAZ UBITEJ ZWIERZYNY W 1933/34 ROKU PRZEZ TOW. PRAWIDŁOWEGO MYŚLISTWA „DIANA" W ZAWIERCIU.

Na terenach:	Sarny-kozły	Zające	Króliki	Kuropatwy	Cietrzewie	Bażanty	Słonki	Kaczki	Lisy	Psy	Koty	Łaski	Tchórze	Jastrzębie	Wrony	Sroki
Nadl. Łysa Góra	2	407	74	1	3	20	—	—	1	—	—	—	—	1	—	—
włośc. k/Siewierza . . .	4	60	—	160	4	10	—	3	—	—	—	—	—	—	—	—
włośc. k/Zawiercia . . .	—	52	2	170	—	—	1	—	—	1	—	—	—	—	3	—
przez straż łow.	1	—	202	—	—	—	—	—	—	23	19	5	1	4	163	42
Ogółem:	7	519	278	331	7	30	1	3	1	24	19	5	1	5	166	42

Polowań zbiorowych urządzono 9, w których uczestniczyło 124 myśliwych. Koszty polowania zł. 917.—. Tereny znajdują się tylko w pow. zawierciańskim.

OGŁOSZENIA DROBNE

KOMITET REDAKCYJNY: K. Czampe, J. Dylewski, W. Garczyński, B. Gędziorowski, J. Gieysztor, I. Grymiński, Wł. Janta-Połczyński, St. Kamocki, W. Kiltynowicz, Z. Kleszczyński, H. Knothe, J. W. Kobylański, Wł. Korsak, St. Leski, E. Niezabitowski, M. br. Potocki, A. hr. Rzewuski, Wł. Słonczyński, W. Szperling, K. Świderski, B. Świętorzecki, Wł. Zabiełło, St. Zaborowski i J. Żabiński.

ŚCISŁY KOMITET REDAKCYJNY: Jerzy Dylewski, Walenty Garczyński i Władysław Zabiełło.

Redaktor odpowiedzialny: Walenty Włodzimierz Garczyński. **Wydawca:** Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich.

PRENUMERATA: Zgóry za kwartał zł. 7.50; za pół roku zł. 15; za rok zł. 28. — Miesięcznie 2.50. — Numer pojedyńczy — 1 zł. Numer ozdobny 1 zł. 50 gr. Za numery, które wyszły przed zapłaceniem, liczymy po 1 zł. Za zmianę adresu 50 gr. Za numer reklamowany w przeciągu miesiąca — 25 gr.

CENY OGŁOSZEŃ: Milimetr za tekstem 60 gr. Cała strona — 300 zł.; ½ — 150 zł.; ¼ — 75 zł.; ⅛ — 40 zł. Przed tekstem — 50% drożej. Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%.

Drobne ogłoszenia — płatne zgóry — po 10 gr. za wyraz; handlowe po 20 gr.; grube litery — po 20 gr.; najmniejsze ogł. — 2 zł. Znaki pisarskie liczą się za wyrazy.

W numerach ozdobnych: Za tekstem 1 milim. 90 gr. Cała strona 450 zł.; ½ — 225 zł.; ¼ — 115 zł.; ⅛ — 60 zł. Przed tekstem 50% drożej. — Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%. — Agentom nie wolno pobierać zaliczek.

ADRES: NOWY ŚWIAT 35. **TELEFON REDAKCJI I ADMINISTRACJI 607-98** **KONTO P. K. O. Nr. 8082.**

Rękopisów redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo czynienia zmian i skrótów w nadsyłanych artykułach, oraz decyzji co do terminu ich umieszczenia. Prosimy o nadsyłanie rękopisów wyłącznie pod adresem redakcji.

Redaktor przyjmuje rozmowy telefoniczne oraz interesantów w swem mieszkaniu prywatnem (Kredytowa 18 m. 3, tel. 604-25), codziennie, prócz sobót, między 4-ą i 5-ą pop.; w redakcji — w poniedziałki od 6-ej do 7-ej pop. — Biuro czynne od 9 do 3-ej i od 5-ej do 7-ej wiecz., w sobotę do godz. 3-ej.

Zarząd i Sekretarjat Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich tel. 6 66-15.



Znak fabryczny

„DAR ZBORÓW”

Z. A. „Pocisk” S. A.

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka, Warszawa.